ROCZNIK XI. Listopad 1907. Nr. 11.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn — Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ:

NIESTETY!

Zmiłujcie się nademną przynajmniej wy, przyjaciele moi, bo mnie ręka Pańska dotknęła!

Skąd pochodzą te błagania, te smutne prośby? Czy z ciemnych grobów? Nie! Groby mówią do nas tylko o nicości rzeczy ziemskich i o nędzy ludzkiej. Jeżeli umarli przemawiają, to chyba milczeniem. Czy może z wyżyn pięknego nieba dolatują nas te ponure jęki? Nie! Mieszkańcom górnych krain rozdzielił Bóg świetne korony i otarł łzy z ich oczu; słychać tam po wszystkie wieki radosne pienia. Czy może z przepaści piekielnych wydobywają się te żałosne prośby? Ci, którzy przebywają w tych ciemnych miejscach, stracili wszelką nadzieję, dla nich niema pomocy, oni od Boga na zawsze odrzuceni; z przepaści tych nigdy nie wyjdą, ręka Pańska nietylko ich dotyka, ale miażdży i gniecie.

Z czyśca wznoszą się ku nam te rzewne błagania. Do kogóż zwracają się te dusze o pomoc?

Do nas. Możemy wspomagać naszych ukochanych zmarłych, możemy im otworzyć bramy niebieskie, mamy dużo środków, przez które możemy im przyspieszyć posiadanie nieba.

Ale niestety, nie chcemy ich używać!

Bł. Jan Marja Vianney.

W walce z oszczerstwami (*)



Jak piorun z pogodnego nieba spadła na Salezjanów we Włoszech niebywała burza. Twórcami jej była masonerja i socjaliści (jak zwykle w podobnych wypadkach!); denuncjatorem i oszczercą namówiony przez fałszywą matkę chłopiec Aleksander Besson (recte Karol Marlario); środkiem propagandy bogata prasa antykatolicka. Ciemne i roznamiętnione tłumy zbałamuconych robotników, rozpętane już poprzednio potwornemi wieściami o nieporządkach w zakładach pewnej pseudo-zakonnicy, uwierzyły ślepo w pogłoski, że i w zakładach salezjańskich dopuszczano się wykroczeń moralnych. Masonerja i socjalizm postanowiły zrobić z nich skandal światowy. Gazety darły się w niebogłosy, zalewały Włochy szczegółowymi opisami rzekomych gwałtów i nadużyć, wzywały do wypędzenia zakonów, do zaprowadzenia szkół bezwyznaniowych. Tłumy porwane przez agitatorów, przeszły do czynów, napadały na zakłady salezjańskie, dopuszczały się świętokradzkich gwałtów w kościołach, podkładały pod nie ogień, a gdy żandarmerja i wojsko stanęło w obronie niewinnych księży, nie wahały się pójść na bagnety i kule. Krew się lała i roznamiętnienie rosło. Brukowe pisma ogłaszały zastraszające wyniki śledztwa sądowego, wymieniały nazwiska winnych, aresztowanych, ofiar. Przedwczesne zamknięcie przez władze spotwarzonych zakładów dolało oliwy do ognia. Zamożniejsze dzienniki wysyłały na miejsce specjalnych korespondentów. Afera doszła do takich rozmiarów, jakich sobie życzyli jej organizatorowie; prasa światowa zajęła się « pamiętnikiem Bessona » i « kloaką klerykalną » (1).

Ale ten największy rozgłos skandalu był zarazem jego grobem. Naraz gazety masońskie i socjalistyczne ucichły, poczęły się cofać lub powsiadały na kark władzom śledczym. Co się stało?

Najprzew. ks. Jenerał Rua zażądał od prefekta prowincji turyńskiej, aby wszystkim jego zakładom wytoczono najsurowsze śledztwo karne. To śmiałe wystąpienie zbiło krzykaczy nieco z tropu. Równocześnie dobiegały do końca śledztwa w zakładach spotwarzonych, a kończyły się dla masonów i socjalistów najniefortunniej, bo uwolnieniem Salezjanów od wszelkiej winy. Prasa katolicka rozbijała w puch

(*) Artykuł niniejszy zamieszczamy jako uzupełnienie « Ważnego oświadczenia » ogłoszonego w numerze poprzednim na str. 241-42.

(1) Więc i *Naprzód* musiał pisać « o nabożnych świństwach we Włoszech »; *Głos* (lwowski) dosyć obszernie omawiał « klerykalną kloakę » i krwawe zajścia « w Spezii pod Medjolanem (!); *Kurjer Lwowski* pisał o jakichś « wielkich inkwizytorach salezjańskich » uciekających przed dochodzeniami władzy! Najgorzej atoli wyszedł na tej robocie *Głos Przemyski*, któremu *Echo Przemyskie* dało bardzo upokarzającą ale zasłużoną odprawę.

wszystkie zarzuty i wykazywała bezczelność i złośliwość przeciwników z taką siłą i w takiej nagości, że stała się dla nich postrachem. Na domiar złego doręczono redaktorom i oszczercom wezwanie, aby stanęli przed kratkami sądowemi i odpowiedzieli każdy za kilka potwarzy...

I tak się skończył światowy skandal salezjański, ale nie skończyły się zaburzenia i strajki. Kto będzie odpowiadał za krew, która się polała, za poprowadzenie ludu do znieważenia kościołów, do napadów na dobroczynne zakłady, do targania się na życie ludzkie?

Zgromadzenie Salezjańskie wychodzi z tej burzy odświeżone, i odbiera gratulacje od wszystkich tych, którym nie są obce uczucia honoru i sprawiedliwości. Wielebny sługa Boży ks. Bosko patrzy z upodobaniem na jego tryumfy i wyprasza mu u Boga nowe łaski.

***

Demokratyczne pismo Cittadino *pisze o przyjęciu, jakiego we Varazze doznał kleryk Disperati, oskarżony przez Bessona o udział w rzekomych orgiach salezjańskich, aresztowany dnia 1. sierpnia i po 48-dniowem śledztwie jako najzupełniej niewinny uwolniony z więzienia w Savonie dnia 17. września:*

« Zanosi się na deszcz i burzę, a mimo to ogromny tłum ludu zaalarmowany przez prasę, tłoczy się w pobliżu stacji i wyczekuje przyjazdu kleryka Disperatiego. Z zakładu salezjańskiego nadchodzi ks. dyrektor Viglietti i kilku kleryków, których lud wita serdeczną owacją i okrzykami: « Niech żyje ks. dyrektor! Niech żyje Disperati! Niech żyją Salezjanie! ». Na wszystkich twarzach maluje się wzruszenie; wielu płacze.

Już godzina 9. minut 16. Zapał i niecierpliwość rośnie. Naraz słychać świst lokomotywy; to pociąg nadjeżdża. Lud pcha się na peron i krzyczy: « Niech żyje Disperati! Niech żyje niewinny! Precz z Bessonem! Precz z socjalistami! Precz z prasą zaprzedaną masonerji! » Już pociąg stoi i ukazuje się sympatyczna postać kleryka Disperatiego. Jest niezmiernie blady i wzruszony demonstracją tłumu, który go wita hucznymi oklaskami. Ksiądz Viglietti ściska go, całuje i płacze. Lud śpiewa, krzyczy, odgraża się oszczercom, porywa nawpół omdlałego kleryka, podnosi go w górę, całuje mu ręce, sutannę i wśród nieprzerwanych śpiewów i oklasków urządza pochód, który jest prawdziwym trjumfem biednej ofiary gniewu sekciarskiego. Pochód kieruje się ku kościołowi, który może pomieścić tylko małą cząstkę uczestników. Wszystkie kolana uginają się przed Przenajśw. Sakramentem, wszystkie usta nucą poważną melodję *Te Deum* na podziękowanie Bogu za to, że w radość obrócił smutek ludu i cierpienia ofiary. Kleryk Disperati klęczy przed ołtarzem i płacze.

Po błogosławieństwie ks. Viglietti dziękuje ludowi, który mu odpowiada oklaskiem i ponownymi okrzykami. — Długo jeszcze brzmiały okrzyki i oklaski przed kościołem: wszyscy chcieli mówić z klerykiem, wszyscy całowali mu ręce. Choć wskutek cierpień fizycznych i moralnych zmienił się nie do poznania, ma atoli wygląd niesłychanie miły i sympatyczny, mówi bardzo żywo, z silnym akcentem toskańskim i intelligentnie. Stał się bożyszczem całego miasta.

Wieczorem tegoż dnia musiał się przedstawić tłumom robotników fabrycznych, którzy zorganizowali wspaniałą demonstrację na cześć jego i Salezjanów ».

***

Warto tu przypomnieć, że na podstawie denuncjacji osławionego Bessona uwięziono ogółem dwóch Salezjanów. Brata Latuadę już w sierpniu zrehabilitowano i puszczono na wolność. Wypuszczenie więc kleryka Disperatiego, którego najcięższe obarczały zarzuty, jest całkowitą rywendykacją reputacji imienia salezjańskiego. W obozie masońskim i socjalistycznym zapanowała z tego powodu wielka konsternacja. Sympatja dla spotwarzonych rośnie niepowstrzymanie i znajduje wyraz w obchodach, na zgromadzeniach i w pielgrzymkach do grobu czcigodnego sługi Bożego księdza Jana Bosko. Do zakładu we Varazze zgłosili się już z początkiem roku szkolnego wszyscy uczniowie prócz jedynego Bessona, którego wraz z pseudomatką zawezwano za oszczerstwa przed kratki sądowe. Proces wytoczyli Salezjanie także licznym redakcjom, a o nadużycie władzy oskarżyli kilku funkcjonarjuszów z żandarmerji, władzę polityczną i lekarza, który jako rzeczoznawca na żądanie władz badał chłopców zakładowych. Bardzo smutny będzie epilog tej sprawy dla wrogów Kościoła, którzy niespodziewanie wpadli w dołek, który pod duchowieństwem katolickiem kopali.

Z ŻYCIA CZCIGODNEGO SŁUGI BOŻEGO KS. JANA BOSKO.

OBJAŚNIENIA DEKRETU

św. Kongregacji Obrzędów z dnia 24. lipca 1907 r.

Pomocnicy, którzy pragną lepiej poznać szczegóły życia czcigodnego sługi Bożego księdza Bosko, zapewne wdzięczni nam będą za te krótkie ale cenne objaśnienia dekretu zamieszczonego w poprzednim numerze Wiadomości Salezjańskich (str. 234-40).

„Otoś już bez ojca!"

Po śmierci ojca wzrastał pod szczególną opieką matki wdowy. *(Dekret).*

Ks. Bosko utracił ojca we wczesnem dzieciństwie. Często opowiadał młodzieży swojej szczegóły tego nieszczęścia.

,,Nie miałem jeszcze dwóch lat, gdy mi ojciec umarł i nie pamiętam jego fizjognomji. Nie wiem, co się ze mną działo w onej chwili bolesnej, ale pamiętam, i jest to pierwszy fakt zapisany w mej pamięci, że matka mi rzekła: ,,Otoś już bez ojca!'' Wszyscy wyszli byli z pokoju nieboszczyka a ja chciałem koniecznie zostać. ,,Chodź, rzekła wtedy matka, chodź ze mną.'' ,,Jeśli tatko nie pójdzie, to i ja nie chcę iść,'' odpowiedziałem. ,,Biedne dziecko!'' odrzekła matka, ,,chodź ze mną, już nie masz ojca'' To powiedziawszy, wybuchła wielkim płaczem, wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z pokoju. Płakałem wtedy zapewne dlatego, że matka płakała, bo w tym wieku prawdopodobnie nie mogłem zrozumieć, jak wielkiem nieszczęściem jest utrata ojca. Zapamiętałem atoli na zawsze te słowa: ,,Otoś już bez ojca!''

Przyjmuje pierwszą Komunję św.
(W marcu 1826 r.)

Tego rana matka nie pozwoliła mu z nikim rozmawiać, poprowadziła go do kościoła i przystąpiła do Stołu Pańskiego. W domu nie śmiał się zająć żadną pracą materjalną, lecz przepędził cały dzień na pobożnem czytaniu i modlitwie. Prócz wielu przestróg, jakie mu dała, są godne uwagi następujące nauki po kilka razy i z wielką umiejętnością wpajane w jego młodociane serce:

,,Drogie dziecko! Ten dzień jest bardzo ważny dla ciebie. Jestem przekonana, że Bóg rzeczywiście posiadł twoje serduszko. Przyrzecz mi dzisiaj, że dołożysz wszelkich starań, by pozostać dobrym aż do końca życia. W przyszłości przystępuj często do Komunji św., lecz strzeż się pilnie świętokradztwa. Na spowiedzi wyznawaj zawsze wszystko; bądź zawsze posłuszny; chodź chętnie na katechizm i na kazania, a na miłość Boga! jak zarazy unikaj tych, którzy prowadzą złe rozmowy.''

Ks. Bosko pisze w swoim *Pamiętniku* (1):

,,Zapamiętałem i starałem się praktykować nauki pobożnej matki i zdaje mi się, że od tego dnia nastąpiła poprawa w mojem życiu, szczególniej co do posłuszeństwa i uległości względem drugich, do czego pierwej czułem wielki wstręt, chcąc zawsze czynić swoje dziecinne uwagi temu, kto mi rozkazywał lub udzielał dobrej rady.''

Wspomnienia z dnia obłóczyn.

W roku 1834 a dwudziestym życia przywdział w kościele parafjalnym św. Michała Archanioła w Kastelnuovo sukienkę duchowną i z tej okazji napisał sobie kilka zbawiennych postanowień, które odczytał przed obrazem Najśw. Panny.

Czytamy w jego Pamiętniku:

,,Odtąd pragnąłem zajmować się sobą. Dotychczasowy tryb mego życia miał uledz gruntownej zmianie. Wprawdzie w poprzednich latach nie było ono zbrodnicze, ale płoche, próżne, wypełnione wycieczkami, grą, skakaniem, zabawą i innemi rozrywkami, które rozweselały na chwilę, ale zapełnić serca nie mogły. Aby mieć stały program życiowy, któregobym nigdy nie zapomniał, spisałem sobie takie postanowienia:

---

(1) W archiwum naszego Zgromadzenia w Turynie istnieje drogocenny rękopis p. t. *Pamiętnik Oratorjum od r. 1835 do 1855. Wyłącznie dla członków Salezjanów.* Ta praca księdza Bosko, napisana z rozkazu Piusa IX, jest bardzo ważnym przyczynkiem do psychologji świątobliwego Założyciela. Autor ukrywał ją bacznie za życia. Leży jeszcze w manuskrypcie, z którego po raz pierwszy czerpiemy kilka ustępów dla naszych Czytelników.

1) Nie będę odtąd brał udziału w widowiskach publicznych na targach i jarmarkach, nie będę chodził na bale ani do teatru; o ile możności nie będę bywał na obiadach dawanych przy podobnych okazjach.

2) Nie będę nigdy urządzał sztuczek kuglarskich, komedjanckich, gimnastycznych i innych; przestanę grać na skrzypcach i chodzić na polowanie. Rzeczy te uważam za przeciwne powadze i duchowi kościelnemu.

3) Umiłuję i praktykować będę skupienie, oraz umiarkowanie w jedzeniu i piciu, a na spoczynek obrócę tylko tyle godzin, ile jest niezbędnie potrzebnych dla zdrowia.

4) Jak w przeszłości służyłem światu, czytając pisma świeckie, tak na przyszłość będę się starał służyć Bogu, czytając książki pobożne.

5) Będę wszystkiemi siłami zwalczał każdą rzecz, każdą książkę, myśl, słowa i uczynki przeciwne cnocie czystości. Natomiast będę używał środków, choćby najdrobniejszych, które strzegą tej cnoty.

6) Oprócz zwykłych praktyk pobożnych będę codziennie odprawiał medytację i czytanie duchowne.

7) Codziennie opowiem jaki budujący przykład lub wyjaśnię jaką dobrą myśl. Uczynię to wobec przyjaciół, towarzyszów, krewnych, a jeśli nie będę mógł wobec innych, to przynajmniej wobec mojej matki.

Takie postanowienia powziąłem przy obłóczynach; aby je dobrze zapamiętać, poszedłem przed obraz Matki Najśw., odczytałem je i pomodliwszy się, złożyłem Niebieskiej Opiekunce stanowczą obietnicę zachowywania ich kosztem jakichkolwiek ofiar.''

Wstępuje do seminarjum.

Następnie za staraniem tegoż czcigodnego ks. Kafasso wstąpił do seminarjum w Kjeri.

,,Dnia 30. października r. 1835 miałem być już w Seminarjum. Mała wyprawka była gotowa. Cała rodzina cieszyła się a ja najwięcej. Tylko matka była zamyślona i spoglądała na mnie, jakby mi chciała coś ważnego powiedzieć. Jakoż wieczorem przed odjazdem przywołała mnie do siebie i przemówiła w te pamiętne słowa: ,,Mój Janie, przywdziałeś suknię duchowną; czuję stąd taką pociechę, jaką może odczuwać matka ze szczęścia syna. Ale pamiętaj, że nie suknia jedna szacunek twojemu stanowi, ale życie cnotliwe. Jeślibyś miał kiedy zwątpić o swojem powołaniu, przez litość nademną nie bezcześcij tej sukni! Złóż ją zaraz. Wolę mieć syna biednym wieśniakiem, niż księdzem niewiernym swojemu powołaniu. Kiedy przyszedłeś na świat, poświęciłam cię Najśw. Pannie; kiedyś rozpoczynał nauki, poleciłam ci nabożeństwo do tej Matki naszej; teraz zalecam ci, byś się Jej całkowicie oddał; wyszukaj sobie towarzyszów nabożnych do Marji, a jeżeli zostaniesz księdzem, zalecaj i szerz zawsze Jej nabożeństwo.''



Małgorzata Bosko, matka wiel. sługi Bożego ks. Jana Bosko.

Mówiąc to, była wzruszona; ja płakałem i odrzekłem:

—,,Matko! dziękuję ci za wszystko, coś mi powiedziała i dla mnie uczyniła; słowa twoje nie przebrzmią bez skutku, będą moim skarbem na całe życie.''

Wczesnym rankiem udałem się do Kjeri a wieczorem byłem już w seminarjum.''

Jest kapłanem.

Wyświęcony na kapłana odprawił pierwszą Mszę św. w Turynie w kościele św. Franciszkaz Asyżu.

Czytamy w jego *Pamiętniku :*

,,Dniem moich święceń była wigilja Trójcy Przenajśw., 5. czerwca; święcił mnie ks. arcybiskup Alojzy Fransoni w pałacu biskupim. Pierwszą mszę odprawiłem w kościele św. Franciszka z Asyżu, gdzie konferencjom dla kapłanów przewodniczył ks. Józef Kafasso, szczególny mój dobroczyńca i kierownik. Z niecierpliwością oczekiwano mnie w rodzinnej wiosce, gdzie dawno prymicji nie widziano, ale wolałem odprawić ją bez hałasu w Turynie przy ołtarzu Anioła Stróża stojącym w kościele po stronie Ewangielji. Cały Kościół obchodził tego dnia uroczystość Przenajśw. Trójcy, archidjecezja turyńska święto cudu eucharystycznego, a kościół św. Franciszka święcił Matkę Boską Łaskawą, czczoną w nim od niepamiętnych czasów. Dzień ten mogę nazwać najszczęśliwszym w mojem życiu. W *Memento* tej pamiętnej mszy starałem się wspomnieć pobożnie wszystkich moich profesorów, dobrodziejów duchownych i doczesnych, szczególniej zaś nieodżałowanego ks. Kalosso, którego zawsze uważałem za wielkiego i wyjątkowego mego dobrodzieja. Jest pobożnem wierzeniem, że Pan Bóg niezawodnie udziela łaski, o którą prosi neoprezbiter przy pierwszej mszy: ja prosiłem o *skuteczność wymowy* na pożytek dusz. Zdaje mi się, że Bóg wysłuchał moją pokorną prośbę.''

Prymicje w Kaste'nuovo.

W dzień Bożego Ciała odprawił mszę w Kastelnuovo wśród wielkiego napływu ludu.

Drugą mszę odprawił czcigodny nasz Założyciel w kościele Matki Boskiej Pocieszenia ,,na podziękowanie, jak się sam wyraził, Najśw. Pannie Marji za niezliczone łaski, które mi wyprosiła u swego Boskiego Syna Jezusa.''

,,We wtorek, tak pisze dalej w *Pamiętniku*, udałem się do Kjeri i odprawiłem Mszę w kościele św. Dominika, przy którym był wówczas dawny mój profesor, O. Giusiana. Jak się niegdyś z ojcowską pieczołowitością mną zajmował, tak w czasie mojej mszy płakał ze wzruszenia. Spędziłem u niego cały dzień, jak w raju.

.W środę ofiarowałem Mszę św. w katedrze tego miasta.

W czwartek, uroczystość Bożego Ciała, ucieszyłem swoich ziomków, przybywając do Kastelnuovo, gdzie odśpiewałem Mszę św. i poszedłem z procesją. Proboszcz zaprosił na obiad moją rodzinę, duchowieństwo i znaczniejsze osobistości miejscowe.

Wszyscy brali udział w radości, bo byłem przez ziomków bardzo kochany; każdy winszował mi szczęścia, jakie mnie spotkało. Wieczór spędziłem w kółku rodzinnem. Ale kiedym przechodził koło domu i zobaczył miejsce, na którem w dziewiątym roku życia miałem ów sen, nie mogłem się powstrzymać od łez i rzekłem: ,,Jakże są przedziwne zamiary Opatrzności Boskiej! Bóg naprawdę podniósł z ziemi biedne dziecko, by je posadzić z książęty ludu swego'' (1).

Tego dnia matka rzekła mi w cztery oczy te słowa: ''Jesteś kapłanem, odprawiasz mszę; zbliżyłeś się więc do Jezusa Chrystusa. Może tego od razu nie zrozumiesz, ale po trochu przekonasz się, że matka mówiła ci prawdę. Jestem przekonana, że codziennie będziesz się modlił za mnie, dopóki żyć będę, a także i po mej śmierci. Dość mi na tem. Ty odtąd myśl tylko o zbawieniu dusz i nie zaprzątaj sobie głowy troską o mnie.''

Pamiątki święceń kapłańskich.

Kilka dni przed promocją do święceń kapłańskich ułożył i napisał nowe i doskonalsze postanowienia.

Oto ich brzmienie:

,,Zakończenie ćwiczeń duchownych przed moją pierwszą Mszą św. — Kapłan nie dostaje się sam jeden ani do nieba ani, do piekła. Jeśli dobrze żyje, pójdzie do nieba z duszami zbawionemi swoim przykładem; jeśli źle się prowadzi, jeśli gorszy, pójdzie na zatracenie z duszami potępionemi przez swoje zgorszenie. Dołożę więc wszelkich starań, by pozostać wiernym następującym postanowieniom:

1) Nie wychodzić nigdy na przechadzkę, chyba z ważnego powodu, np. by nawiedzać chorych i t. d.

2) Zajmować czas dobrze i ściśle.

3) Cierpieć, pracować, upokarzać się we wszystkiem, gdy chodzi o zbawienie dusz.

4) Będę się we wszystkiem kierował miłością i słodyczą św. Franciszka Salezego.

5) Będę się zadowalał podanym pokarmem, byle nie szkodził zdrowiu.

---

(1) O tem napomyka dekret słowami: ''Wieczorem, gdy powracał do domu rodzinnego, przechodząc przez miejsce, gdzie niegdyś miał przeczucie swego apostolstwa na korzyść dziatwy, dziękował Bogu i wychwalał Go psalmem 112: ,,Chwalcie dzieci Pana.''

6) Wino będę pijał z wodą i tylko jako lekarstwo, t. j. tyle i wtenczas, gdy zdrowie tego będzie wymagać.

7) Praca jest bronią potężną przeciwko nieprzyjaciołom duszy i dlatego nie udzielę ciału dłuższego spoczynku nocnego nad pięć godzin; w ciągu dnia, szczególnie po obiedzie, nigdy nie będę spoczywał. Pozwolę sobie na wyjątek chyba w chorobie.

Zdania i myśli ks. Bosko.

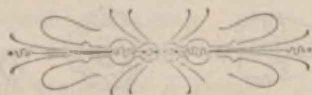
1. W końcu życia zbieramy owoce dobrych uczynków.

2. Każdego dnia zbliżmy się o jeden krok do nieba.

Kastelnuovo d'Asti — rodzinne miasteczko wiel. sługi Bożego ks. Bosko *(Ulica Jana Bosko).*

8) Codzień poświęcę jakiś czas na medytację i na czytanie duchowne. W ciągu dnia nawiedzę krótko Przenajśw. Sakrament. Przynajmniej kwadrans trwać będzie przygotowanie i kwadrans dziękczynienie po Mszy św.

9) Z kobietami nigdy rozmawiać nie będę, z wyjątkiem słuchania spowiedzi w konfesjonale i jakiego innego powodu duchownego."



3. Wszyscy jesteśmy stworzeni dla nieba. Bóg, nasz Ojciec miłościwy, w dobroci swej pragnie naszych dobrych uczynków, aby nas przypuścić do uczestnictwa w szczęśliwości wiecznej, którą od wieków zgotował dla nas wszystkich w raju.

4. Oprócz pacierzy porannych i wieczornych radzę wam poświęcić choćby małą chwilę na czytanie książek pobożnych.

5. Złych książek i pism niemoralnych strzeżcie się, jak zarazy.

6. O sługach Bożych albo się dobrze wyrażać, albo zupełnie milczeć!

7. Pokarmem duszy jest słowo Boże, czyli kazania, wykład ewangielji św. i katechizm.

8. Największem udręczeniem potępieńców w pie-

kle jest ta myśl, że zmarnowali czas, którego im P. Bóg do zbawienia udzielił. Natomiast najsłodszą pociechą błogosławionych w niebie jest czas zużyty na chwałę Bożą.

9. Moi drodzy, zaklinam was ze złami w oczach, byście ze wstrętem unikali złych towarzyszy i byście się ich strzegli jak samego szatana.

10. Gorszycielem nazywamy tego, który słowem lub czynem jest dla drugich okazją do grzechu. Zgorszenie jest strasznym grzechem, bo wydziera Bogu dusze, które On dla nieba stworzył i Krwią Syna swego Jezusa Chrystusa odkupił; a wydziera na to, by je oddać w ręce czarta i wtrącić do piekła.

11. Gdy na was pokusy uderzać będą, nie zastanawiajcie się nad niemi, nie czekajcie, aż zawładną waszem sercem, lecz natychmiast starajcie się o to, aby się od nich uwolnić przez pracę lub modlitwę.

12. Podczas zabawy, rozmowy lub jakiegobądź zatrudnienia wznoście od czasu do czasu myśl swoją do Pana, ofiarując swoją pracę ku Jego czci i chwale.

13. Słuchajcie z wielką uwagą kazania, aby wam dobrze w pamięci utkwiło, a w ciągu dnia, zwłaszcza wieczorem przed spoczynkiem, zastanówcie się krótko nad tem, coście słyszeli.

14. Poza kościołem nie wstydźcie się imienia chrześcijańskiego. Przechodząc koło kościoła lub wizerunku Matki Boskiej lub innego świętego, odkryjcie z uszanowaniem głowę.

15. Mając cnotę i łaskę, posiadasz wszystko; tracąc łaskę, stajesz się najnieszczęśliwszym z ludzi.

16. Odwagi, moje dzieci! Oddajcie się wcześnie na służbę Bożą, a wtedy serce wasze będzie zawsze zadowolone i doświadczycie, jak słodką i miłą jest rzeczą służyć Panu.

17. Kto przełożonym jest posłuszny, ten pełni wolę samego Jezusa Chrystusa i Najśw. Panny.

18 Kto służy Bogu, ten nie żyje w smutku. Któż był milszy i uprzejmiejszy, niż św. Alojzy Gonzaga, św. Filip Nereusz i św. Wincenty a Paulo? A przecież ich życie było ciągłem ćwiczeniem się w cnotach.

19. Tak żyj, aby cię szatan zastał zawsze przy pracy.

20. Mówcie zawsze szczerą prawdę, bo kłamstwo jest obrazą Bożą; przez kłamstwo stajecie się obrzydłemi dziećmi szatana, ojca fałszu i podstępu, a po wykryciu prawdy mianoby was za podejrzanych łgarzy.

21. Posłuszny zdąża do świętości, nieposłuszny idzie drogą zatracenia.

22. Posępny jest, kto służy czartu, bo choćby się silił na udawanie wesołości, serce ściśnione bólem wyrzucać mu będzie: „Nieszczęśliwy jesteś, boś wrogiem Boga.“

23. Gdy słuchasz kazania, nie słuchaj podszeptu szatańskiego, że nauki kaznodziei odnoszą się do innych. Nie!... kaznodzieja mówi do ciebie, do ciebie stosuje prawdy, które wykłada.

24. Nic nie oddziaływa tak skutecznie, jak dobry przykład. W towarzystwach, w których bywał św. Alojzy, nikt się nie ważył wyrzec słówka nieprzyzwoitego, a gdy on się zbliżał wtedy, gdy prowadzono rozmowy zbyt swobodne, wołano zaraz: „Cicho, bo Alojzy idzie!“

25. Przez cnotę czystości stajecie się podobni do do aniołów; Anioł Stróż przywiązuje się do was braterską przyjaźnią i z przyjemnością przebywa w waszem towarzystwie.

26. Pamiętajmy, że P. Jezus przebywa w Najśw. Sakramencie z obfitemi łaskami dla tych, którzy o nie prosić przychodzą. Św. Janowi Berchmansowi ukazał się P. Jezus w postaci dziecięcia trzymającego w ręce wieniec z róż, mówiąc: „Te róże, to łaski, których udzielam tym, którzy po nie przychodzą.“

27. Jeżeli na nieszczęście popadłeś w grzech śmiertelny, to najwięcej powinno ci leżeć na sercu jak najrychlejsze pojednanie się z Bogiem.

28. Jeżeli się chcesz Bogu podobać, zwyciężać pokusy i wytrwać w dobrem, przystępuj często i z odpowiedniem przygotowaniem do Stołu Pańskiego.

29. Każdego wieczora zastanów się nad tem pytaniem: Coby ze mną było, gdybym tej nocy umarł?

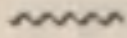
30. Nie odkładaj pokuty na starość, kiedy siły już będą osłabione. Temu zaś, któryby mówił, że nie należy obchodzić się tak surowo z ciałem, odpowiedz: „Kto nie chce cierpieć z Jezusem na ziemi, nie będzie z Nim królował w niebie.“

31. Każdego miesiąca odprawcie ćwiczenie dobrej śmierci, które polega na takiem uregulowaniu spraw duchownych i doczesnych, jak gdyby się tego dnia rzeczywiście miało umrzeć. Odbywa się ono w sposób następujący. Przeznacza się na ten cel pierwszy dzień lub pierwszy piątek miesiąca; poprzedniego wieczora odbywa się krótkie rozmyślanie o śmierci; czyni się przegląd ubiegłego miesiąca, zastanawiając się nad tem, jak go się spędziło i czy sumienie spokojne; przedewszystkiem atoli należy iść do spowiedzi i przyjąć nabożnie Komunję św., jakby się rzeczywiście miało umrzeć.



Z MISJI WŚRÓD INDJAN HIWAROSÓW.

(Ciąg dalszy).



Rzeź cywilizowanych w roku 1599. — Jak zginął O. Hernandez T. J. — Okrutny charakter Hiwarosów. — W jakiem poniżeniu są u nich niewiasty.

Katipi wtórował wesołości i śmiechom Tujazy.

— A ty — rzekł misjonarz, — zapewne nabawiłeś się niemało strachu?

— Ja!? — zapytał tenże z zadziwieniem i pogardą równocześnie. Co? Ja!? — i pokazując koniec swej włóczni, zawołał sardonicznie łamaną hiszpańszczyzną: Zobaczymy, co ja znaczę!

— Gdybym się był zląkł, — ciągnął dalej O. Francisko, zwróciwszy się do ks. biskupa, — byłbym już dawno zginął, chociaż wprawdzie i odważni padali często ofiarą zdrady.

Dowodem tego hekatomby, które urządzali Hiwarosowie, gdy byli w znaczniejszej liczbie w miastach *Mendozie, Logrogni* i *Sevilji złotej*, założonych pośród nich przez Hiszpanów a napadanych w nocy przez hordy tych barbarzyńców. Strasznie, bo krwawemi literami zapisał się w historji tamtejszych miast rok 1599.

W ciepłą i spokojną noc, gdy księżyc wykradał się z za chmur i znowu krył się za niemi, jak gdyby nie chciał być świadkiem tego, co na ziemi miało się rozegrać, naraz wszczął się zgiełk i krzyk nie do opisania, a równocześnie zajaśniała na niebie purpurowa łuna. Wkrótce rozległy się głosy: „Dzicy! Dzicy!”

Czerń indjańska wpadła jak orkan, machając pałkami na wszystkie strony, tratując i miażdżąc, co się nawinęło. Powstało zamieszanie i walka bezładna, w wtórej silniejszy zwyciężał. Tu dzikus nadziewa Hiszpana na swą dzidę; tam inny wyrywa sobie z piersi złamany oszczep, aby mieć się czem bronić; gdzieindziej zaś dwóch mężczyzn barczystych uchwyciwszy się za włosy, starają się jeden drugiego powalić na ziemię: nagle Hiszpan puszcza włosy i uchwyciwszy dzikusa za gardło, już miał nim grzmotnąć o ziemię, gdy wtem doskakuje inny Hiwaros i zatapia kordelas w plecach Hiszpana. Dzicy zwyciężyli. Miasta obrócono w perzynę; prawie wszyscy mężczyźni w najokropniejszy sposób zostali pomordowani a kobiety, wpośród nich wiele zakonnic, wzięto do niewoli.

Opowiadają, że w tych właśnie czasach pewien świątobliwy Jezuita, imieniem *O. Hernandez*, chcąc się dostać na drugi brzeg Amazonki, tam gdzie rzeka tworzy straszny i głęboki nurt, przeciągnął w poprzek linę uplecioną z witwiny i po niej przy nadludzkich wysiłkach, nieustraszonej odwadze i nadzwyczajnej zręczności przeprawiał się z jednej strony na drugą. Otóż pewnego dnia dzicy spiknęli się na jego życie i ukrywszy się w gęstwinie po obu brzegach rzeki, czatowali na upatrzoną ofiarę. Po niejakim czasie spostrzegają, jak sługa Boży wychyla się z zarośli i uczepiwszy się silnie liny, powoli poczyna się przesuwać po swym sztucznym moście. Krwiożerczy dzikusi nie posiadają się z radości, a widząc misjonarza na środku, na dany znak wyskakują z gąszczu i szarpnąwszy z całej siły za oba końce liny, strącają go z tej wysokości w przepaść, gdzie zacny rycerz Chrystusowy znajduje palmę męczeństwa.

— A nasi dzicy — przerwał mu towarzysz, — są tacy sami? — Naszych dzikusów z Gualaquizy, jeżeli im się okaże odwagę i dobre serce, można podbić. Biada natomiast temu, kto błaga litości u roznamiętnionego Hiwarosa.

Nie upłynęło jeszcze 30 lat, jak w poblizkiej wiosce *Aguacate*, aczkolwiek zamieszkanej przez chrześcijan, kilku dzikusów dopuściło się strasznej zbrodni na pewnej rodzinie, ku której żywili niechęć. Pewnej nocy, gdy całe domostwo pogrążone było w głębokim śnie, dzicy wysadziwszy drzwi, obskoczyli całą rodzinę. Nieszczęśliwi nie widząc ratunku, jęli błagać litości. Tego tylko było potrzeba, aby rozzuchwalić rozbestwionych Hiwarosów, którzy jak rozjuszone hyeny rzucili się na bezbronnych i w najokrutniejszy sposób rozszarpali dwudziestu.

Pewna kobieta, odważniejsza od reszty, pochwyciła za siekierę i wywijając nią, broniła się rozpaczliwie. Jeden z Hiwarosów doskoczył, chcąc ją przybić włócznią do ściany, lecz ona silnem cięciem zgruchotała drzewce, drugiem zaś machnęła napastnika w głowę; niestety siły ją opuściły: siekiera zwinęła jej się w ręku

i nieszczęśliwa bohaterka zatoczywszy się, runęła omdlała na ziemię. Dzicy wyjąc z radości, porwali ją za włosy i wśród ciemności nocnych umknęli wraz z drugiemi brankami.

Po tych słowach *O. Francisko* wplótł palce w swą długą brodę i patrząc na dół, starał się ukryć wzruszenie.

Czoło biskupa zasępiło się, a twarz jego to bladła, to pokrywała się rumieńcem. Po chwili rzekł:

— Twoje opowiadanie daje mi do myślenia. Drżę o nasze zakonnice, które wkrótce mają tu przybyć, aby się zaopiekować dziewczętami.

— Obecnie stan rzeczy, odparł *O. Francisko* — znacznie się zmienił. Hiwarosowie nabyli pewnej obawy, miłości i uszanowania.

— Ach! Kiedy zawsze jeszcze są Hiwarosami! Matka Najśw. weźmie nasze Siostry pod swą opiekę. Tak! Ona, która sprowadziła je dla odrodzenia tej rasy przez niewiastę chrześcijańską, Ona je obroni!..... Potrzeba, dodał tonem rozkazującym po chwili zadumy, — potrzeba nadać wielkie znaczenie i okazałość ślubom małżeńskim; niechaj dzicy zrozumieją, że to jest rzecz święta, przez Boga sankcjonowana. Tylko w ten sposób zdołamy podnieść godność niewieścią i przez nią szczepy ucywilizować. Dopóki małżeństwo będzie u Hiwarosów prostym kontraktem ludzkim a może nawet wymuszonem kupnem, dopóty nie uznają w niem prawdziwego nierozerwalnego związku. Powrócą zatem z wszelką łatwością do poligamji także ci, którzy ją porzucili, i tak niewiasta zostanie zawsze niewolnicą a szczep, chociażby był ucywilizowany, powróci do barbarzyństwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Autograf czcigodnego sługi Bożego ks. Bosko

Dio vi benedica tutti, Dio ricompensi largamente la vostra carità e vi renda felici nel tempo più felici ancora nella beata eternità.
Io godo grandemente di potermi professare in nostro Signor G. C.

Torino, 1 Novemb. 1886
Obblmo Servitore
Sac. Gio Bosco

Niech Bóg błogosławi was wszystkich, niech hojnie nagrodzi wasze miłosierdzie, niech sprawi, abyście byli szczęśliwi na ziemi a o wiele szczęśliwsi w błogosławionej wieczności.

Z wielką przyjemnością kreślę się wdzięcznym sługą w Chrystusie Panu

Ks. JAN BOSKO.

Turyn, 1. listopada 1886.

Z dziękczynnego listu do Pomocników, którzy przyczynili się w wielkiej mierze do pokrycia wydatków misyjnych.

MISJE SALEZJAŃSKIE

Szczęśliwa młodzież, która po skończonych wakacjach schroniła się ponownie do szkół i zakładów, by dopełnić swego wychowania i wykształcenia! Zakład to nic innego, tylko dalszy ciąg dzieła misjonarza, zwłaszcza zakład należący do liczby tych, w których głównym kierownikiem, mistrzem i nauczycielem jest Bóg. „Kiedy stary Rzym runął pod ciosami barbarzyństwa, Kościół Rzymski przygarnął do siebie jego ducha tak, jak się przygarnia dziecię płaczące obok zabitej matki na gruzach spustoszonego miasta. Przytulił je do łona, pielęgnował po klasztorach i zakładach, karmił literaturą grecką i łacińską, uczył wszystkiego co naówczas umiano, otaczał wszelką pieczołowitością aż do dnia kiedy to dziecię wyrósłszy na męża, poczęło się zwać Dantem, Kartezjuszem, Bakonem, Kopernikiem..." Thiers, co te słowa napisał, mógł był dodać: ... aż do dnia, w którym Europa wypielęgnowana, wykarmiona, wykształcona przez Kościół, obróciła się na swego dobroczyńcę, zowiąc go ciemnością, wstecznikiem krępującym rozum i wolę i przeciwstawiła Henryka VIII, Lutra, Robespierra. Czem była Europa, zanim została ucywilizowaną przez chrześcijaństwo? Zajrzyjmy do Rzymu, tak jak doń zajrzał Sienkiewicz w chwili, gdy Piotr św. począł tam głosić naukę swego Mistrza; zajrzyjmy do ciemnych lasów germańskich i do rozproszonych ludów sarmackich, a zobaczymy tam taki stan rzeczy, iż porównując go z teraźniejszym, musimy zawołać: *Haec immutatio dexterae Excelsi!* Tylko ręka Najwyższego mogła spowodować taką zmianę. *Digitus Dei est hic.* Palec Boży jest tutaj widoczny, a tym palcem Bożym to Kościół Rzymski, to jego klasztory, jego zakłady wychowawcze. Niechaj złożą dzięki Najwyższemu te dzieci, którym się udało znaleźć kącik w jakim chrześcijańskim zakładzie wychowawczym. Niech pamiętają, że setki, tysiące dziatek polskich napróżno ubiegało się o takie szczęście. Niech pamiętają, iż miljony dzieci pogańskich wyrasta bez oświaty, bez Boga, bez szkoły, bez miłości w sercu, bez idei ojczyzny w duszy.

KOLUMBJA.

Podróż 78 sierot trędowatych z Contratacion do Agua de Dios.

(List X. Ewazego Rabaljatiego).

U. R. *Już od dość dawna nie zamieściliśmy żadnej wiadomości o samarytańskiej, szlachetnej misji Salezjanów w Kolumbji, na co niektórzy z naszych Pomocników słusznie się skarżyli; lecz nie mogliśmy uczynić inaczej, gdyż musieliśmy podawać wiadomości także i z innych miejsc pracy powierzonej misjom salezjańskim.*

Teraz atoli, pomijając inne sprawozdania, dajemy pierwszeństwo pismu X. Ewazego Rabaljatiego, które zaspokoi wielu a jednocześnie przyniesie pociechę tym, którzy się przypatrują różnym fazom tej okropnej plagi, która niestety nie w samej tylko grasuje Kolumbji. O! nigdy nie będzie dostatecznie wysławione i błogosławione imię generała Rejesa, obecnie prezydenta Kolumbji, za jego nieustraszoność w walce z tą

okropną plagą, która w ten sposób będzie musiała z czasem ustąpić z żyznych i wesołych ziem tej rzeczypospolitej.

Bogota, 1 marca 1907.

Najczcigodniejszy i Najukochańszy Ojcze!

Dzień 23. ubiegłego stycznia odznaczył się w szpitalu trędowatych widowiskiem jedynem w swoim rodzaju. Już od 5 rano wszyscy trędowaci w liczbie 500 byli na nogach i opuszczając swe dymianki, udawali się do kapliczki, aby wysłuchać mszy św. a następnie pożegnać na zawsze 78 trędowatych sierotek, które tego dnia miały wyruszyć do Agua de Dios. Scena ich wyjazdu była nad wyraz wzruszająca, i nie bez powodu.

Chodziło o przebycie 75 mil drogi i to nie przez ludzi zdrowych, lecz przez młodych trędowatych, z których wielu znajdowało się już w najbujniejszym okresie choroby; prócz tego miano tę podróż odbyć nie w wygodnych wagonach pociągu kolejowego, ale na twardym grzbiecie mulicy, po spadzistych stokach, których ścieżki wykute nieraz między dwiema przepaściami, napawają bojaźnią nawet i najśmielszych.

Wiedzieli o tem przewodnicy mający prowadzić karawanę, i wielu z tych co wyruszali, a najlepiej wiedzieli o tem starsi, którzy mieli pozostać na miejscu. Zatrwożenie malowało się na twarzach wszystkich, nawet u małej dziatwy, która choć zawsze roztrzepana, tym razem nie łudziła się co do tego, że podróż ta dla niektórego mogła się zamienić na inną o wiele dłuższą, ... do wieczności.

Około godziny 11-tej można było nareszcie z wielką biedą dać znak do ruszenia, choć było w naszym planie wyruszyć najpóźniej o godz. 7-ej. Spostrzegłem zaraz, że nie było rzeczą zbyt łatwą podróżować z tyloma i z takimi chorymi. Na czele ruszyły chore w liczbie 40, prowadzone przez dwie Siostry Marji Wspomożycielki; następnie szli chorzy w liczbie 38 w towarzystwie podpisanego oraz innego kapłana salezjańskiego.

Środki bezpieczeństwa. — Jak się pokrzepiano. — Porządek pochodu.

Zaraz na wstępie muszę zaznaczyć, że pomyślano pilnie o wszystkiem co się mogło przyczynić do tego, aby przeprawa wypadła jak należy. Szło z nami 4 żandarmów, przydanych nam wspaniałomyślnie przez gubernatora departamentu dla bezpieczeństwa chorych w razie potrzeby. Dziesięciu mężczyzn zdrowych (ale spokrewnionych z chorymi i przebywających w tymże szpitalu w Kontratacion) wszyscy pieszo, nie odstępowało od boku nieboraczków znajdujących się na siodle, aby ich podtrzymywać na przejściach trudniejszych lub w razie potknięcia się zwierzęcia. Innych trzech (którzy chcieli uchodzić za najsilniejszych) niosło po jednem « guando » (rodzaj fotelu) z podnóżkiem i białą firanką dla ochrony przed słońcem a trochę także przed deszczem dla tych, co byli cięższej chorzy lub wskutek upadku albo zmęczenia nie byli w stanie w inny sposób trzymać się razem z innymi. Następowało trzech kuchcików a z nimi sześć innych osób wyznaczonych do prowadzenia zwierząt jucznych, których było z piętnaście. Potem postępował ekonom całej karawany, zdrowy ma się rozumieć, dobre człeczysko, którego zadaniem było dostawiać żywności w czasie podróży, oraz, co się często zdarzało, wstawiać na miejsce wywichnięte lub połamane kości. Nie zapomniano też o małym ambulansie, jak się to praktykuje przy wojsku w czasie pochodu, więc zdążała za nami jużto pieszo, jużto na koniu, najdzielniejsza z Sióstr. szpitalnych z swą dobrze zaopatrzoną apteczką Orszak składał się więc: z 40 chłopców i 38 dziewcząt trędowatych, z 2 Salezjanów, 4 żandarmów, 2 Sióstr Marji Wspomożycielki i 22 osób zdrowych do posługi; prócz tego było 80 mulic, z których 15 jucznych a reszta wierzchowych.

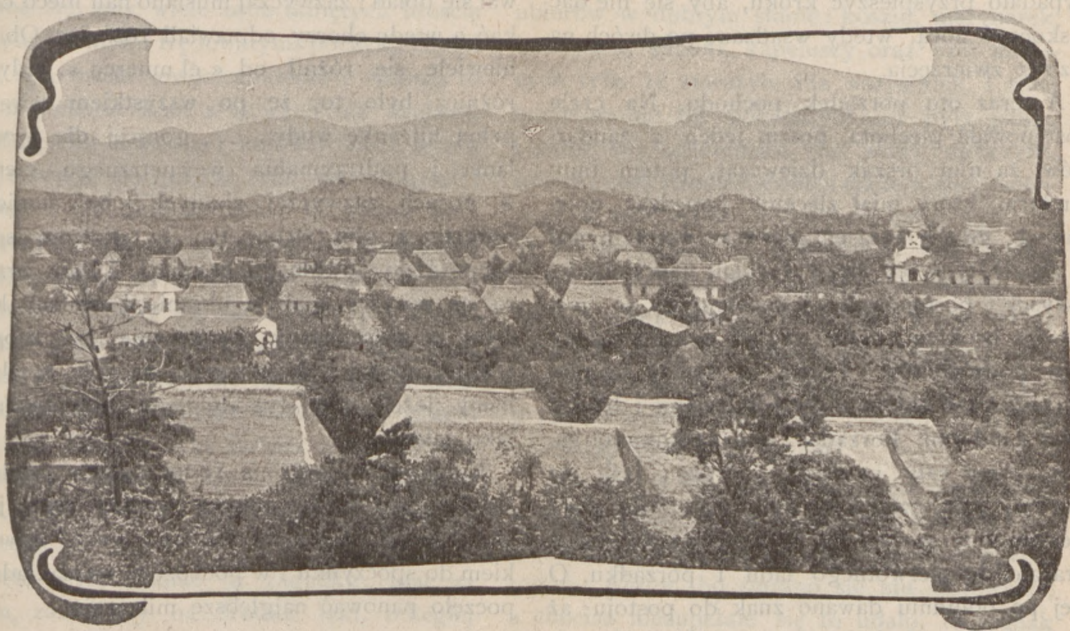
Mimo chęci, aby wszystko szło jak należy i aby zachować nadany porządek, właśnie w pierwszy dzień pochodu panował powszechny bezład, atoli bez niczyjej winy. Ludność z Kontratacion odprowadziła nas gromadnie tak daleko, dopóki poszczególne jednostki znużone nie poczęły siadać na murawie i wracać napowrót; wielu atoli dotrzymało nam kroku przez cały dzień i pozostali jeszcze z nami przez noc.

Ale jak wspomniałem, pierwszy dzień był prawdziwie nieznośny: częste były spadnięcia połączone z krzykiem tych, co spadali z siodła

i tych, co to spostrzegali a nie mogli w czas przyskoczyć na ratunek; przetrudną była także droga przemykająca się często między dwiema przepaściami. Było prawdziwym cudem bożym, żeśmy się pod wieczór znaleźli wszyscy cało i zdrowo.

A jak się odżywiały te dziesiątki usteczek, które od 11-ej niczego jeszcze nie skosztowały? i gdzie rozbito obóz dla tego bolesnego orszaku?

Podam najdroższemu Ojcu program pochodu, którego się trzymano przez całe 21 dni drogi miękkiej murawie, na której rozbito obóz. Potrawy tego pierwszego śniadania były zawsze te same: dobra filiżanka kipiącego kakao, chleb i ser. Tymczasem doglądacze ściągali z blizkich i dalszych pastwisk swoje ośmdziesiąt zwierząt i w obozie poczęło się roić. Ten zwijał namioty, ów siodłał wierzchowce, inny wkładał bagaże na grzbiet mulic. Dziewczęta mniej cierpiące a skrzętne, obmywały naczynia w potoku; Siostry doglądały wszystkich chorych, temu lub owemu zmieniały bandaże a potrze-



Miasto trędowatych w *Agua de Dios* **w Kolumbji** (zob. str. 275).

z wyjątkiem dnia wymarszu. O godzinie piątej wstanie, a w pół godziny potem pierwsza msza św. dla chorych i zdrowych. O 6-ej druga msza św. tylko dla chorych, bo zdrowi mieli swoje zajęcia do spełnienia. A gdzie się odprawiały msze św.? Świątynia zawsze stała na pogotowiu, wielka świątynia przyrody... łąka, albo droga publiczna, lub brzeg jakiego ruczaju, mając nad sobą jako sklepienie i kopułę niezmierzone błękity niebios nabijane miljonami gwiazd, rozjaśnione później promieniami wschodzącego słońca.

Po skończeniu II. mszy św. śniadanie już stało gotowe, i odbywało się w gromadkach, jednocześnie; zdrowi naokoło « kuchni », chłopcy i dziewczęta rozłożeni na zielonej i bującym dawały lekarstwo. Na tej skomplikowanej operacji schodziły zwykle 2 godziny tak, iż nadeszła godz. 9 zanim można było zasiąść do drugiego śniadania (el muerco). Potrawy tegoż składały się z zupki na makaronach lub ryżu i ziemniakach, z kawałka mięsa pieczonego lub gotowanego, z kakao i chleba; za napój służył garap albo cicia, sama woda nigdy.

Następowało dosiadanie wierzchowców . . . scena arcykomiczna! Kto się czuł na siłach i odwadze, aby wsiadać bez pomocy innych, prowadził swe zwierzę do jakiego rowu lub ku jakiemu wysokiemu kamieniu albo kupce, i stąd wspinał się na siodło, wywijając długo nogami, zanim się dostał na grzbiet i usadowił po rycersku, uśmiechając się pełen zadowolenia

z udanej próby. Ale zdolnych do tej operacji, łatwej dla tych co mają czerstwe członki, było bardzo mało; innych dozorcy brali w silne ramiona i sadowili na siodłach. Gdy wszyscy byli w strzemionach, dawano znak do pochodu.

Trzeba zaznaczyć, iż ponieważ nie było mulic dla wszystkich 78 chorych, niektórzy z nich musieli iść pieszo; ale zmęczywszy się trochę wsiadali na mulice, których im ustępowali inni. Gdy zaś się zdarzyło, a zdarzało się to często, że obie strony się zmęczyły, albo gdy wypadało przyspieszyć kroku, aby się nie dać zaskoczyć nocą, wtedy wsadzano po dwóch na grzbiet zwierzęcia.

A teraz oto porządek pochodu. Na czele postępowała piechota, potem jeden z żandarmów, za nim orszak dziewcząt, potem inny żandarm, który miał zlecenie popędzać opieszałych, gdy tymczasem pierwszy wstrzymywał w zapale tych, co się wyrychlali naprzód, aby wszyscy postępowali jednostajnym to jest żółwim krokiem, przez wzgląd na szczególny stan podróżników. Potem w tymże samym porządku szli chłopcy, dwaj Salezjanie i drudzy dwaj żandarmi. Porządek ten zachowano surowo przez cały przeciąg podróży; jeśli się zdarzały zamieszania, to tylko na chwilę, gdyż niezwłocznie szeregi się formowały i wszystko wracało do pierwotnego ładu i porządku. O 1-ej po południu dawano znak do postoju: aż do godziny 2-ej był wypoczynek wspólny na publicznej drodze. Równocześnie zbierano trochę chróstu, zapalano ogień i w wielkim garnku gotowano po raz trzeci kakao, które rozdawano z kawałkiem chleba i z porządną porcją sera. Tutaj w Kolumbji kakao z serem uchodzi za przysmak bardzo wyśmienity... Około godziny 2-ej ruszano dalej w tym samym porządku i postępowano naprzód aż do godziny 5-ej, o której następował dłuższy postój przeważnie w pobliżu źródła lub jakiego ruczaju badźto w pośród lasu, bądź też na jakiej pięknej łące. Były to godziny dla chorych najpiękniejsze, bo ci wyciągnięci na zielonej murawie zażywali pożądanego wypoczynku; ale dla zdrowych były to godziny najcięższej pracy. Należało bowiem rozbić namioty, co nie było rzeczą tak łatwą, zwłaszcza gdy brakowało drzewa do zbudowania szkieletu naszych « białych domków ». Zajęcie to było przeznaczone dla najsprytniejszych. Gdy atoli nadciągała burza, przywoływano do pomocy także trędowatych mniej zmęczonych a ochotniejszych.

Jednocześnie kucharze krzątali się koło obiadu a pachołcy koło mułów, bo i te odczuwały apetyt. Tymczasem inni rozdawali kołdry i koce do pościeli, podczas gdy Siostry umywały rany i rozdawały lekarstwa dla tych, co tego potrzebowali.

Między ósmą a dziewiątą wieczorem odbywał się obiad; zazwyczaj musiano nań nieco czekać, a wtedy chorzy odmawiali różaniec. Obiad niewiele się różnił od « el muerco ». Jedyną różnicą było to, że po wszystkiem dawano pełną filiżankę wody . . . . . gorącej dla wywołania i podtrzymania wewnętrznego ciepła w nocach zazwyczaj zimnych, bo namioty otwarte z obu stron, dawały wiatrom sposobność do dowolnego hasania. Tylko przez to, że wszyscy spali w ubraniu i otuleni kocami, w które każdy dostatecznie był zaopatrzony, można było osięgnąć, że noce spędzaliśmy jeżeli nie wygodnie, to przynajmniej jako tako.

Nareszcie o godzinie 10-tej (czasem prędzej innym znów razem później według tego, jak okoliczności pozwalały) dawano znak dzwonkiem do spoczynku i w podróżującym zakładzie poczęło panować najgłębsze milczenie.

Wzruszające zdarzenia. — Współzawodnictwo w okazywaniu najdelikatniejszego miłosierdzia.

W takim porządku zeszło 21 dni z wyjątkiem dwóch; raz zatrzymaliśmy się dobrowolnie, aby ludziom dać sposobność wyprać i wymyć rzeczy zbrudzone; drugi raz stanęliśmy z konieczności, aby pogrzebać sierotę Barona, który zaskoczony razu pewnego w górach ciemną, zimną i dżdżystą nocą, razem z dziesięcioma innymi towarzyszami nie mógł zdążyć za drugimi do obozu. Biedaczek musiał wraz z tym, co go niósł, przenocować pod drzewem; gdy zaś rano nas dopędził, był bardzo chory. Starano się przywrócić go do naturalnego ciepła, co się po części udało. Położono go na noszach zbitych na prędce, w nadziei, że nam się uda ponieść go dalej; ale gdyśmy spostrzegli, że

stan jego się pogarszał, stanęliśmy: po kilku godzinach biedny sierota zmarł śród modłów kapłana i wszystkich współpodróżnych. Pogrzebano go pół klm. od miejsca gdzie skonał, na cmentarzu poblizkiej wioski.

Ileżto innych wzruszających zdarzeń miałbym tutaj do opowiedzenia; ale ponieważ jest niepodobieństwem opisać wszystkich, opowiem tylko niektóre.

Było to siódmego dnia drogi przed wioską *Saboją* i na miejscu, gdzieśmy przystanęli dla zebrania się, gdy wiele osób tkniętych litością nad tylu biednymi trędowatymi poczyna znosić chleb, ser, masło, owoc, cukierki i ofiarują to naszym nieboraczkom z słowami tak czułemi, tak tchnącemi miłością i miłosierdziem, że ich dary stawały się jeszcze raz tak cennymi i drogimi. I nie dość na tem. W późną noc, gdy wszyscy spali w najlepsze pod namiotami i czuwały tylko dwie straże, a było to dwóch Salezjanów, zaczęły się naraz rozlegać dźwięki muzyki, co do których zrazu nie można było poznać skąd dochodziły. Dały się bowiem słyszeć najpierw dźwięki harmoniki, potem skrzypców i fletów oraz innych instrumentów, a w końcu ozwał się nawet bęben; wszystko zaś zlewało się w harmonijne, czarujące brzmienia.

Trzeba było zbadać tę zagadkę; idąc za głosem, zastaliśmy na środku łąki, odległej z jakie 100 kroków od naszych namiotów, około 15 chłopców i młodzieńców, którzy się tamże zebrali, aby nam zaimprowizować taki oto koncert, który potrwał całą godzinę. Owacja ta wzruszyła aż do łez naszych nieboraczków, którzy z rozkoszą i w milczeniu przysłuchiwali się z pod namiotów melodyjnym tonom a następnie oklaskiwali jak mogli rękoma, kto takowe posiadał, inni zaś wydawali okrzyki. Również następnego poranku podczas obydwóch mszy św. powtórzyła się ta niespodzianka, która wywołała już nie oklaski, ale ogólne wzruszenie za tak delikatne i naturalne okazanie współczucia.

W mieścinie *Ubate*, departamentu kundynamarckiego, doznaliśmy innych dowodów współczucia; każdemu bowiem dostał się suty obiad, przygotowany i rozdawany przez najznakomitsze panie miejscowe, podczas gdy pewien generał, p. Antoni Herrera, konno objeżdżał ulice i domy, zbierając jałmużnę dla trędowatych sierotek. Kolekta ta przyniosła okrągłą sumkę 250 koron.

Szczodrzejszymi jeszcze okazali się dla nas mieszkańcy małego sioła *Kajiki* w pobliżu Bogoty. Przygotowali oni dla każdego nie zwykły obiad, ale po prostu sutą ucztę, z której pozostało tyle chleba, bułek, ziemniaków, kukurydzy, że było czem obładować dwie mulice. Prócz tego posłali do obozu 2 wozy ubiorów w dobrym stanie: koszul, marynarek, kamizelek, spodni, kapeluszy oraz szat kobiecych tyle, że starczyło dla wszystkich. I tutaj inicjatorkami tej dobroczynności były panny i panie bez uszczerbku dla sławy mężczyzn, którzy z swej strony rozwinęli także wielką ruchliwość w tem współzawodnictwie dobroczynnem. W rzeczy samej na odjezdnem wójt gminy ściskając mi rękę na pożegnanie, wsunął mi do niej kilka banknotów dużego kroju, które uczyniły około 400 koron naszej monety, mówiąc z wzruszeniem: Niech to ks. dobrodziej przyjmie w imię tej wioski i niech to rozda pomiędzy swoich biedaków.

Wieczorem tego pamiętnego dnia stanęliśmy w *Chiji*. Tutaj niezawodnie musiano się dowiedzieć o świetnem przyjęciu jakie nam zgotowano *Kajice*, bo starano się mu dorównać; a chociaż niezupełnie się to udało, to jednak musieliśmy podziwiać szczodrobliwość miejscowej ludności. Wystarczy zaznaczyć, iż kiedyśmy rano mieli ruszać dalej, musieliśmy nająć jeden wóz, aby unieść z sobą wszystkie dary boże, które dla nas poznoszono, a których zęby nie zdołały zniszczyć.

Atoli nie miało brakować również ciemnych stron tego obrazu tak misternie zeszkicowanego ręką miłości chrześcijańskiej; ale była to tylko jedna strona i to mało znacząca. W miejscowości, której nie wypada oznaczyć nawet literami początkowemi, by snać to pismo wróciwszy tutaj w tłumaczeniu na język miejscowy, nie dało powodów do posądzań niesprawiedliwych, zostawiono nas przez kilka godzin na publicznej drodze przed zamkniętem wejściem na łąkę, która miała stanowić schronienie dla nas i dla zwierząt. I gdy długo czekaliśmy napróżno, dwóch żandarmów wspięło się na płot i zawo-

łali na stróża, iż jeżeli nie otworzy wrót, to zostaną wyłamane. Wtenczas dopiero otwarły się podwoje, ale tylko dla zwierząt, bo właściciel nie chciał w żaden sposób zgodzić się na to, aby wpuszczono trędowatych; obawiał się bowiem, by nasamprzód łąka, potem krowy, a następnie ich mleko nie stało się trędowatem i nie zaraziło ludzi, którzy go mieli używać. Jeżeli poczciwiec był w dobrej wierze, powiem, że mu się zdawało, iż postępuje sobie dobrze... Ale nieboracy trędowaci musieli onej nocy pójść na spoczynek prawie bez wieczerzy i zadowolić się publiczną drogą.

Podczas gdyśmy byli w ten sposób traktowani od ludzi, Opatrzność Boża dała nam zato dowody szczególniejszej miłości ku opuszczonym. Niebawem zatrzymano się przy mostku małego potoku; przy nim cztery kolumny z czterema głazami na szczytach zdobiły cztery jego rogi. Poczęło padać, a nie było gdzie się schronić przed deszczem, gdyż pod mostem płynęła woda. Co począć? Rzucono na prędce linki od jednego głazu do drugiego i starano się na nich rozciągnąć namioty, aby się pod nie schronić przed deszczem. Zdrowi krzątają się koło tej pracy a chorzy pchają się na gwałt pod rozwijające się płótna; miejsce było ciasne, chorzy stanowili zbitą masę: wtem przeraźliwy krzyk « kolumna się wali » ściął krew w naszych żyłach. Lecz nim się można było usunąć, głaz leżał już na ziemi tuż przy zbitej masie chłopców, nie tknąwszy z nich żadnego. Gdyby był runął o włos na prawo lub lewo, byłby niechybnie zmiażdżył którego z tych biedaków. Zapomnieliśmy od razu odprawienia z niczem, doznanego od właściciela łąki, aby całą duszą podziękować Bogu za tak cudowne ocalenie od niechybnego nieszczęścia. Poszliśmy na spoczynek przerywany tylko chlupotaniem wody spływającej z namiotów i toczącej się pod mostem.

Ale było to, jak powiedziałem, jedynym ciemnym punktem w całym tym pięknym obrazie, jedynym tonem fałszywym, który się ozwał podczas tych 21 dni podróży. Już następnego poranku trzech młodzieńców, świadomych tego, jak nas przyjęto dnia poprzedniego, zebrało śród przyjaciół i znajomych przeszło 100 koron, prosząc nas, abyśmy zapomnieli o niegościnnem przyjęciu doznanem od owego posiedziciela.

A ileż drobnych datków nie odebraliśmy w ubożuchnych szałasach. Ileżto głosów współczucia nie usłyszeliśmy nad naszymi biednymi trędowatymi! « Nieboracy! słyszeliśmy nieraz wołających, jak okropnie muszą cierpieć; jak okropną rzeczą musi być trąd; niech nas P. Bóg zachowa od podobnego nieszczęścia, a niech pocieszy te cierpiące dziatki, dając im odpocznienie w niebie! » Tryumf miłosierdzia chrześcijańskiego był powszechny.

Gdym przybył do Agua de Dios, pokazało się, że suma zebranej jałmużny dochodziła liczby 2000 koron, co podzielone między 77 pozostałych chorych, przypadło po 26,50 k. na każdego. Było to po prostu skarbem dla niejednego z nich, co nigdy nie widzieli byli złamanego szeląga; zdawało im się być we śnie, gdy nagle poczuli się tak bogatymi. Biedne dzieci!...

Przybycie do Agua de Dios. — Powody tej podróży.

Przybycie do Agua de Dios było czemś wielkiem, czemś niezmiernie pięknem, czego nie będę opisywał, aby nie stać się zbyt długim. Powiem tylko, że cała ludność, 4000 osób, chorzy i zdrowi, wszyscy oczekiwali nas przed osadą, aby nas powitać, aby się do nas uśmiechnąć. Stanęliśmy w *Agua de Dios* około 4ej wieczorem i z wdzięcznością pozdrowiliśmy statuę Matki Boskiej Wspomożycielki, która zdawała się uśmiechać do nowoprzybyłych, gdyż wszyscy są jej dziatkami.

Dwa schroniska stały już otworem, aby przyjąć wysłańców nieszczęścia. Nasz X. Wariara przycisnął do serca w imieniu X. Unii 37 chłopców, a Siostry Miłosierdzia uściskały 40 dziewcząt w imię miłości chrześcijańskiej. Po całodniowym wypoczynku pachołcy, żandarmi i reszta ruszyli z powrotem do ich domów; ja się zatrzymałem jeszcze niejakiś czas w Agua de Dios, nie chcąc opuszczać nagle owych drogich nieboraczków, boby się tem byli zbytecznie zmartwili. Codzień ich odwiedzałem po kilka razy i znachodziłem ich zawsze uśmiechniętych i prawie szczęśliwych.

— Co za różnica! powiadali; co za różnica! z piekła dostaliśmy się do nieba.

— Jakże piękniej w *Agua de Dios* w porównaniu do *Kontratacion*.

Porównanie to było oczywiście przesadne, prawdą jest jednak, iż jeśli *Kontratacion* jest piekłem, to *Agua de Dios* tylko czyścem; albo chcąc powiedzieć, że *Kontratacion* jest czyścem, wtenczas można też twierdzić, że *Agua de Dios* jest rajem.

Jeszcze kilka słów nad powodami tej podróży i będzie koniec.



Muzyka trędowatych w *Agua de Dios*.

Gdy w październiku z. r. dowiedziałem się, że projekt skoncentrowania trędowatych w *Cepitá* spełzł na niczem, rzekłem do prezydenta rzeczypospolitej na pół żartem, na pół serjo:

— Teraz, Ekscellencjo, pozostaje tylko jeden środek.

— A to jaki?

— Powrócić do dawnego planu.

Lat temu kilka uważałem za możliwy jeden tylko szpital na całą Kolumbję; prawda, że i ten projekt nie jest bez trudności i to nader poważnych, ale cierpliwością wszystko da się pokonać. Plan ten jest mniej kosztowny, a jednocześnie nie napotka tyle przeszkód, co szpitale okręgowe.

— Ma ksiądz słuszność, ma ksiądz słuszność, odrzekł p. Prezydent; i to uczynimy powoli, w miarę jak będzie można wznieść nowe budynki w *Agua de Dios*.

— Doskonale, odrzekłem; w takim razie niech mi W. E. uczyni pewną łaskę.

— Proszę mi powiedzieć jaką.

— Niech mi będzie wolno zaprowadzić natychmiast do *Agua de Dios* wszystkie sieroty znajdujące się w *Kontratacion*. Choćby ich było i sto, to jeszczeby ich można wszystkich wygodnie pomieścić w dwóch schroniskach tego miasta. W *Santanderze* cierpią oni wielce nietylko z powodu klimatu i choroby, lecz także wskutek opuszczenia. Tak jest! znam wypadki nader bolesne.

— Czynię zadość woli księdza we wszystkiem; niech się ksiądz bierze spokojnie do dzieła, zakończył p. Prezydent. Podróż będzie kosztowała wiele, ale mój rząd poniesie całkowicie wszelkie koszta.

W kilka dni potem wyszedł dekret, mocą którego otrzymałem od rządu około 12.000 lirów, za które wynająłem 66 mułów (inne zostały ofiarowane od ludzi prywatnych), zakupiłem siodła i naczynia kuchenne, nająłem przewodników, infirmarzy, żandarmów, pachołków i t. d. oraz żywiłem całą ową setkę osób 21 dni. I wszystko poszło znakomicie tak, że zebranych 2000 lirów drogą różnych ofiar, mogłem rozdzielić pomiędzy 77 trędowatych.

Dzisiaj otrzymam od rządu dalsze 30.000 lirów, aby przyodziać 1500 trędowatych znajdujących się w *Agua de Dios*, dokąd zawitam, jak to zwykłem czynić od lat kilku, podczas Wielkiego Tygodnia, w ciągu którego obrzędy kościelne odbywają się w Kolumbji w sposób nadzwyczaj uroczysty, oraz na rekolekcje, które mają miejsce zaraz po Wielkanocy.

Śród setnych i tysiącznych zajęć, jakie nakłada kierownictwo rządu, jest rzeczą budującą widzieć człowieka, prezydenta wielkiej rzeczypospolitej, pamiętającego o wszystkiem, starającego się o wszystko, nie zapominającego o braciach jęczących pod ciężarem największego nieszczęścia — trądu, owszem przenoszącego ich niejako nad innych.

Bądź ksiądz pewny, mówił mi on przy pewnej okazji, że w razie potrzeby kazałbym raczej pościć żołnierzom, co są stróżami porządku narodowego, ale nie zostawiłbym bez pożywienia biednych trędowatych zamkniętych po szpitalach. Zaręczenie to wypełnia od półtrzecia roku z religijną skrupulatnością, jak to widać z rozlicznych silnych zapór położonych ku zagrodzeniu zarazie.

Kończę, najdroższy Ojcze. Pobłogosław mię dnia każdego i pomódl się czasem u stóp Najśw. Wspomożycielki za tego, który jest Twym

najposłuszniejszym w Panu synem
Ks. Ewazy Rabaljati
kapelan trędowatych w Kolumbji.

PATAGONJA POŁUDNIOWA.

Na wyspie Dawson.

Czcigodny i najukochańszy Ojcze!

Zaczynając ten list, mam na celu skreślenie li tylko kilku ważniejszych cech charakteru dwóch z naszych Indjan i podanie niektórych szczegółów dotyczących nowych chrześcijan na tych ostatnich krańcach Nowego świata.

Elizeusz i Michał.

Elizeusz i Michał są pierwszymi Indjanami, którzy przybyli na wyspę Dawson; liczą już około 64 lat i należą do misji od roku 1891. Brali udział we wszystkich prawie uroczystościach swych współplemieńców, lecz przy misji do dziś dnia pozostają. Obok świetnego zdrowia cieszą się również niezmierną siłą; trzy czy cztery miesiące temu wyżłobili we dwóch siekierami olbrzymi pień drzewa i zrobili zeń łódź długości 4 ½ metra.

Elizeusz należy do szczepu Onasów a Michał do Alakulufów. Charaktery mają różne; pierwszy jest zawsze wesoły i uśmiechnięty, drugi przeciwnie zawsze poważny i milczący: nigdy go nie widziano śmiejącego się. Pomimo to są dobrymi przyjaciółmi i żyją w najlepszej zgodzie. Należą oni do liczby tych, którzy sakrament bierzmowania otrzymali z rąk J. E. ks. Jara biskupa ze S. Charlos d'Ancud, gdy w lutym 1903 r. raczył nas zaszczycić swą miłą wizytą pasterską.

Michał przystępuje do sakramentów św. już od lat kilkunastu. Elizeusz natomiast przystąpił dopiero 24. października zeszłego roku do komunii św. wraz z dwoma innemi 54-letniemi dziećmi! Do przygotowania go niezmiernej trzeba było cierpliwości, lecz nasz Minicci sprostał w zupełności powierzonemu sobie zadaniu.

W roku 1905 towarzyszyli mi ci dwaj Indjanie w podróży, którą odbyłem do wielkiej wyspy Ziemi Ognistej.

Udzielali mi oni najdokładniejszych wyjaśnień o tutejszych okolicach, pokazując mi różne punkty strategiczne, w których niektóre plemiona indjańskie, zbrojne w łuki i strzały, staczały swego czasu krwawe walki pomiędzy sobą. Opowiadali, że w niektórych takich potyczkach krew tak obficie się lała, iż ziemia, przesiąknąwszy nią, stawała się czerwoną. Elizeusz i Michał byli już od dzieciństwa bardzo zręczni w strzelaniu z łuku.

Dalej pouczali mię, że przed czterdziestu mniej więcej laty Ziemię Ognistą zamieszkiwało kilkadziesiąt tysięcy Indjan, i że nie mijał ani jeden miesiąc bez bójki, gdyż niektóre plemiona śmiertelnie się nienawidziły. Niejeden nieszczęśliwy przeszyty dziesięciu lub piętnastu strzałami, padał na ziemię, lecz żył jeszcze, wijąc się w okropnych boleściach, dwa lub trzy dni: straszne to były zaiste zapasy. Prawda, że ich *brukos* (lekarze i kapłani) od-

wiedzali ich, lecz nie przynosili im żadnej ulgi, żadnej pociechy. Uważając ich bowiem już za straconych, zadowalali się wygłaszaniem nad rannymi różnych strasznych egzorcyzmów, przepowiadając im zarazem niechybny zgon. Jeśli zaś czasem śmierć na tyle była bezczelna, że nie pospieszyła spełnić przepowiedni, natenczas by się nie skompromitować, radzili sobie wróżbici w prosty zupełnie sposób, dusząc bez ceremonji rekonwalescentów.

Demon, zupełny i jedyny władca tej ziemi, ukazywał się *brukom* pod najróżnorodniejszemi postaciami, wydając im swe rozkazy, które usłużni wróżbici wiernie spełniali.

Pierwszym katolickim głosicielem prawd ewangjelicznych w ziemiach tutejszych był nasz czcigodny i gorliwy prałat ks. Fagnano. Ileż dobrego zdziałał on tutaj w dwudziestu niespełna latach, dzięki pomocy bożej i wsparciu naszych szlachetnych Pomocników! Zaledwie przycichły wojny i niepokoje, sztandar krzyża św. powiał nad pobojowiskami, a tysiące Indjan przyjmowało chrzest św., ciesząc się niezmiernie nauką, która głosi, że wszyscy są sobie braćmi i dziećmi jednego Ojca co króluje w niebie.

Zmartwienia i pociechy.

Czart nie dał za wygraną i raz jeszcze z całą wściekłością stanął do walki. Ale Bóg z nami. Codzień mamy namacalne dowody potężnej Jego opieki, zatem z otuchą w sercu kroczymy naprzód!

Protestantyzm usiłuje zapuścić tu swe korzenie, starając się zyskiwać sobie wśród nowochrzczeńców swych zwolenników; za sprawą jednakże Marji, Wspomożenia Wiernych, nie udaje mu się to zupełnie. Będzie może temu półtrzecia roku, gdy pewien biskup protestancki przybył zwiedzić misje na wyspie Dawson. Postawiwszy Indjanom Krzysztofowi, Andrzejowi, Elizeuszowi i wielu innym mnóstwo dziwnych i natrętnych pytań, przystąpił wreszcie do młodego Rajmunda Dias; i oto djalog, jaki się między nimi wywiązał:

— Dawno jesteś przy misji?

— Ośm lat z górą; liczyłem zaledwie dziewięć lat, gdym tutaj przybył.

— A powiedzno mi: macie wy tutaj dobre jedzenie?

— Nie zbywa nam na niczem!

— Czy jesteście bardzo obarczeni pracą?

— Każdy pracuje według sił i zdolności i jesteśmy wszyscy zadowoleni, że choć w części zapracować możemy na chleb, który spożywamy.

— Jesteś zadowolony? — powiedz prawdę; jesteś zadowolony?

— Jestem szczęśliwy, o ile to możliwe tu na ziemi.

Zresztą wiedzcież, że żyjemy nie po to, by się bawić i cieszyć, lecz by zasługiwać na niebo.

— Powiedz mi jeszcze raz: dają wam tu dobrą żywność?

— Powiedziałem już przecież; dają nam wszystko, czego tylko potrzeba, lecz..... myślę sobie... *być może, że religja protestancka polega na dobrem jedzeniu: czy tak?*

Zapewne nigdy jeszcze biskup prezbiterjański nie słyszał podobnej odpowiedzi z ust biednego Fuegińczyka. Zdumiony i oszołomiony nieszczęśliwy dostojnik zamilkł i po długiej dopiero chwili zdołał odzyskać równowagę umysłu.

Dzięki Bogu i Jego świętej Opatrzności cieszymy się wszyscy najlepszem zdrowiem. W ostatnim czasie dwóch z naszych młodych Indjan należących do szczepu *Onas* skończyło swą ziemską wędrówkę i przenieśli się do lepszego życia. Jeden z nich, 17-letni młodzian, był prawdziwym wzorem dla wszystkich i bezwątpienia zasłużył sobie przed tronem Najwyższego na niebo.

Błogosław nam, najdroższy Ojcze, i nie omieszkaj polecać nas przy każdej sposobności miłosierdziu i ofiarności naszych dobrych Pomocników.

Przy ofierze Mszy świętej proszę o Memento za

najprzywiązańszego Ci syna w Chrystusie

brata Piotra Rossiego
Misjonarza-katechetę.



WIADOMOŚCI POTOCZNE

PRZEMYŚL. — Oczywiście nie może się to stronnictwom radykalnym a zwłaszcza socjalistom podobać, że się tu osiedlili Salezjanie i że poczęli zajmować się młodzieżą. Niezmiernie im to nie na rękę, że im ktoś przed siecią chce ryby łowić, bo wiedzą dobrze, że kto się za młodu przejął szczytnymi ideałami, w kogo wpojono silne i trwałe zasady religji, patrjotyzmu oraz poczucie godności, praw i obowiązków człowieka, jako członka społeczeństwa, ten dla nich przepadł na zawsze, tego przenigdy nie pozyskają dla swych brudnych machinacji. I stąd ślepa nienawiść do tych, którzy się tej pracy humanitarnej i społecznej podejmują; stąd gniew na tych, którzy Salezjanom udzielają poparcia; stąd krzyk, zniewagi, oszczerstwa i niecne usiłowanie podkopania wpływu, który na wychowanie młodzieży nasze Zgromadzenie wywrzeć może.

Uznanie należy się obozowi katolickiemu, że tym agitatorom śmiało spojrzał w oczy i podjął z nimi zawziętą walkę, że bronił opinji Salezjanów i zwycięsko się rozprawiał z rzucanemi na nich oszczerstwami. Kiedy prasa socjalistyczna była do tego stopnia nieuczciwa i bezczelna, że lud robotniczy chciała zmobilizować przeciw naszemu Zgromadzeniu przez wywoływanie pamiętników Bessona, redakcje katolickie bardzo słuszne zajęły stanowisko, dowodząc, że brednie te dawno już zaliczono do bajek, do najbardziej nieudanych sztuczek masońskich.

Pomiędzy innemi tak pisało w tym względzie *Echo Przemyskie* (22. 9. 1907) w artykule pod tytułem "Oszczerstwa rzucane na OO. Salezjanów."

"W ostatnich tygodniach cała prasa włoska zajmowała się gwałtownie rzekomym skandalem, jakiego miał dostarczyć zakład OO. Salezjanów w Varazze we Włoszech. Powód dał pamiętnik chłopca Bessona, w którym dotyczący spisywał codziennie skandaliczne zajścia odbywane o północy w zakładzie, nadto opisywał, że Salezjanie potargali obraz króla i Garibaldiego, a wreszcie, że jeden z nauczycieli niezupełnie ubrany miał do chłopców wykład w szkole. Oskarżenia te podniesione do niebywałych rozmiarów powtórzyła prasa włoska; wtedy jenerał OO. Salezjanów zażądał, by wszystkim ich klasztorom wytoczono śledztwo. Żądaniu jego stało się zadość. O przebiegu tego śledztwa pisze liberalny dziennik Stampa wychodzący w Turynie, następująco:

"Władza sądowa po ścisłych dochodzeniach dokonanych przez żandarmerję, po wielu przesłuchiwaniach świadków i obwinionych, po niezliczonych rewizjach w zakładzie salezjańskim we Varazze, przyszła do przekonania że wszystko to, co doniósł chłopiec Besson, jest bezwarunkowo nieprawdą. Zwracamy uwagę na to, że władza sądowa do pewnego stopnia podjudzona i niedostatecznie bystro na rzeczy patrząca, była początkowo zdania, że oskarżenia podniesione przez Bessona są przynajmniej w części uzasadnione. Jej zatem orzeczenia nabierają tem większego znaczenia i z tego powodu, że pochodzą z niepodejrzanego o życzliwość źródła. Może tu czytelnicy spytają: Jak być mogło, że władza sądowa doszła do tego przekonania kosztem tylu śledztw, gdy tymczasem ludzie zdrowego rozsądku doszli do tego samego wniosku nierównie prędzej. Jak to sobie wytłumaczyć, że przed tygodniem znaczna część dziennikarstwa włoskiego zajmowała się pamiętnikiem Bessona tak, jak gdyby jego twierdzenia były wiarogodne? Trzeba otwarcie zaznaczyć, że z dwóch powodów t. z. skandal salezjański w Varazze dostarczył przez kilka tygodni całym Włochom przedmiotu dyskusji, wywołał tyle polemik, tyle gniewów.

"Największa odpowiedzialność za to, że idjotycznemu pismu zdenerwowanego chłopca przyznawano dość powszechnie znaczenie dokumentu, spada na podprefekta m. Savony. On to, podprefekt, czytał pamiętnik i bez krytyki, bez namysłu, bez należytego zastanowienia się nad tem, czy doniesienie jest uzasadnione, czy nie, zarządził owe głośne kroki administracyjne, które chorobliwie podrażniły wyobraźnię publiczności.

"Masoni i obóz antykościelny dolali oliwy do ognia. Łatwo wierzyć w to, czego się pragnie; jakże więc prasa masońska i antykościelna nie miała uwierzyć w niegodziwości Salezjanów we Varazze, skoro sam podprefekt Savony wyrażał się o nich jako o rzeczywistych winowajcach? Tak też i postępował, zarządził stan oblężenia w zakładzie we Varazze, kierował ruchami żandarmerji i policji, zatwierdzając słowem i czynem to, co było urojeniem chorego umysłu. Jego zachowaniem się podniecona cała prasa włoska, prześcigała się wzajemnie zohydzaniem Salezjanów, a władze sądowe traktowały ich początkowo jako zwykłych zbrodniarzy.

"Oto prawdziwa geneza zamieszania zeszłych dni — pisze dalej wspomniany dziennik liberalny — doniesienie waryata widziane poprzez latarnię magiczną nieodpowiedniego podprefekta. Stronnictwa dodały, czego niedostawało.

"*La vera Roma*, z 1. września b. r. pisze: we wstrętnej kampanii salezjańskiej wyszła na jaw zła wiara i bezczelność przeciwników katolicyzmu.

"W Varazze królewski prokurator prowadzi dalej śledztwo. Ponieważ z dnia na dzień prawda staje się jaśniejszą, w ludności rośnie oburzenie na oszczerców; wyrazem tego usposobienia były mowy na posiedzeniu nadzwyczajnem rady gminnej w Varazze dnia 20. sierpnia, na którem w obecności syndyka i Wydziału podnoszono z uznaniem humanitarną i wychowawczą pracę Salezjanów."

Tyle *Echo Przemyskie.*

DASZAWA. — Przez przekształcenie tutejszego domu na zakład dla *Synów Marji* pchnięte zostało życie tutejsze na tory zupełnie nowe. Chociaż dyrekcja stała na tem stanowisku, że w pierwszym roku nie powinno się zbytecznie potęgować liczby alumnów, nie mogła się jednak oprzeć wielu prośbom i przyjętych zostało trzydziestupięciu młodzieńców. Kontyngentu dostarczyły wszystkie dzielnice. Przybyli z najlepszemi chęciami i rozpoczęli studja swoje z zapałem i energją. Oby im P. Bóg dozwolił ukończyć je szczęśliwie i dotrzeć do wzniosłego celu, który swemu życiu wytknęli. Współbraciom oddanym pracy tak miłej sercu czcigodnego naszego Założyciela, życzymy powodzenia i błogosławieństwa niebieskiego.

TARIŠKI GRAD (Radna). — I. — Kto nie zwiedził Szwajcarji lub naszych Tatr, ten nie może mieć pojęcia o położeniu naszego domu. Nie mówię tego z przesady, nie poetyzuję: wyrażam się najściślej. Mieszkamy na łagodnem wzniesieniu; po tylnej stronie wznoszą się wysokie wzgórza pokryte lasami; z trzech innych stron otaczają nas bujne zarośla, w których dom jest zupełnie ukryty. Przed fasadą roztacza się niewielki park z niejednym znakiem zaniedbania. W odległości 200 metrów od parku płynie rzeka Sawa, stanowiąca granicę między Krainą a Styrją. Aby się po jej mętnych i niespokojnych falach przeprawić na drugi brzeg, trzeba się Acherontowi z reguły sowicie opłacić. Ta okoliczność krępuje do pewnego stopnia swobodę turystyczną, bo wycieczki będą chyba rzadko *ultra*.

Za rzeką znowu wgórza i lasy, zieleń i skały, uroki i poezja, która bardzo dodatnio oddziaływa na nasze wyobraźnie. Wychowani na płaszczyznach sarmackich, przyzwyczajeni do tego, że piękna szukamy w naszych zagrodach i cichych wioskach, w strojach włościańskich, w drewnianym kościółku, w różnobarwnych stadach bydełka na pastwisku, w polach zielonych i srebrzystych, w kwitnących łąkach i szumiących lasach, — tu doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy byli w innej szkole piękna, piękna objawiającego się w formach zupełnie dla nas nowych i nieznanych. Czujemy, że w wyobraźni naszej dokonywa się wielkie uzupełnienie, że pobyt w krajach alpejskich wywrze bardzo znaczny wpływ na nasz rozwój intellektualny, że z gościnnej Krainy wyniesiemy korzyści nieobliczone. Długo, długo zapamiętamy sobie tę ogromną, uroczą kotlinę Sawy, chaty górali i — poblizką, największą na całą Austrję fabrykę kopyt.

Oj! a to życie turystyczne. Ile przygód i wrażeń! Ile koziołków! Jakie pragnienie! Jakie trudy i zmachanie! Było to raz o 11-tej w nocy — a my straceni, o kilka kilometrów od domu. Z kolacją jeszcze pół biedy, ale nogi! Ani jeden nie byłby się do rana przyczołgał. Siadła więc wiara na wozy i wio! Ile powabu miała dla nas ta jazda, trudno to wypowiedzieć. Góry i góry, lasy i lasy. Upajamy się ciszą, nocą, księżycem, gwiazdami, balsamicznem powietrzem. Po jednej stronie nawpół oświetlone skały o dzikich kształtach, najczęściej pokryte roślinnością, zawsze ułożone do zaczarowanego spokoju; po drugiej lśniące się fale Sawy, niespokojne, mrukliwe, syczące. Gdzieniegdzie mostek nad potokiem, rzadko gdzie jakie domostwo o niewyraźnych konturach.

Po trzygodzinnej jeździe zbaczamy na polną dróżynę. Przed nami ciągnie się długa, ciemna linja lasu, poza którym drzemie w zaciszu nasza siedziba. Na pierwszym wozie śpiewają *Ave Maris Stella*, której melodja pochwycona przez wszystkich płynie wśród ciszy nocnej ponad gaje, ponad lasy, ponad wzgórza i strome góry aż hen ku niebieskim wyżynom. Jeszcze parę minut karkołomnej jazdy, jeszcze jeden skręt nagły i gwałtowny, i już stajemy u celu w *Tarijskim Grodzie*.

Czytelniku łaskawy, nie patrz tak ciekawie na te ciemne ściany. Nie dopatrzysz się w nich siedziby



Statua Najśw. Wspomożycielki Wiernych na stawku w *Daszawie* **(Galicja).**

Marsa: wszyscy co na to liczyli, zawiedli się boleśnie. Wprawdzie te mury pamiętają dawne czasy, dźwigają na swych barkach wieki — ale na zamek rycerski, na warownię nie wyglądają i prawdopodobnie nigdy nie były siedzibą wojowniczego bóstwa. Że tu można było żyć wygodnie i bardzo spokojnie, to nie ulega kwestji. Niewątpliwie tu i tańczono, bawiono się wesoło i czytano trochę; — przemawiają za tem ślady pozostawione w pokojach, salach, bibliotece. Mówią, że tu przyjeżdżali Anersbergowie, ale to dawno, kiedyś w XVII wieku. Dziś inne czasy i inni ludzie. Na czworobocznem podwórzu, otoczonem pięknym krużgankiem i wspaniałą kolumnadą, może niejeden wspomina średniowieczne zamki rycerskie, turnieje i festyny, ale żyje życiem XIX. wieku, ma inne ideały i zapatrywania.

II. Polska kolonja w Krainie nie drzemie. Dopiero tu jest około półtora miesiąca, a już zwiedziła wszystkie poblizkie góry. Z dziarską fantazją pięła się po urwistych grzbietach i z dumą deptała po kończystych, nieraz i w chmurach pławiących się

szczytach. Już i najwyższe z nich ochrzciła mianem tych szczęśliwych bohaterów, którzy pierwsi stanęli na wierzchołku. Jak się musiały te posępne i milczące kolosy dziwić wtenczas, gdy na ich zielonej głowie kilkadziesiąt polskiej młodzieży zanuciło potężnym chórem ono sławne Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła," lub ono ulubione młodzieży polskiej: « Nie masz to wiary. » Leciały brzmienia polskich pieśni w pogodną i modrą dal, odbijając się donośnem echem od fantastycznie porozwieszanych skał i o kończyste zęby poszarpanych granitów... Zdawało się, jakoby góry, u naszych nóg stojące, zazdrościły tych pieśni szczęśliwemu szczytowi św. Józefa, bo je chciwie pochłaniały w czarne głębiny borów i z żałosnym jękiem przekazywały jedne drugim... A schodzenie na dół, to dopiero komedja. Pochyłość prawie prostopadła i paręset metrów wysoka, porosła gęsto jeżynami, borówkami, malinami, słowem gąszcz... Trzeba się zdobyć na fortel, bo bez tego ani myśli dostania się między ludzi. Jedni biorą dwie gałęzie o ostrych końcach i spuszczają się ku dolinie na czterech nogach; inni odważniejsi biorą dosyć gruby dąbień, okraczają go niby grzbiet konia i dalej jazda na dół całym pędem. Jazda iście karkołomna. Niejednemu zachaczą się nogi o gęsto rosnący bluszcz i chmiel: biedak wisi wtedy jak śledź nogami do góry. Innego poturbuje kamień potrącony w biegu przez towarzysza jadącego jego torem i jeździec pada, ogłuszony pociskiem... Uprawiamy w pełnem znaczeniu życie turystów, a że gromadnie, przeto z większą fantazją i zuchwalszą śmiałością...

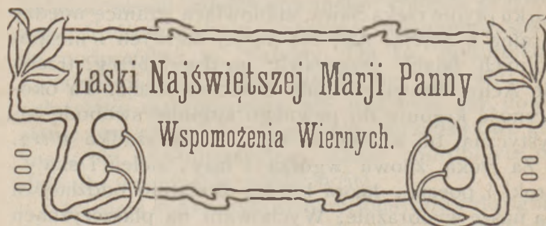
Ale nie tylko na tem polega życie i ruch tutejszej osady. Od trzech tygodni zabrano się do przerobienia i urządzenia zamku. Przedewszystkiem potrzeba było ulokować kuchnię i refektarz, bo to rzecz pierwszej wagi. Umyślono przenieść je na dół, już to dla hygieny, już to dlatego, że suteryny mają duże okna, a stąd światła, powietrza, a także i chłodu podostatkiem. Niestety, okazało się, że suteryny za nizkie! Nie było innej rady; — trzeba było wybrać ziemi na pół metra i takim sposobem oddalić posadzkę od potężnego, łagodnie gotyckiego sklepienia. Na kuchnię dla 5-ciu kucharzy i refektarz dla 60-ciu osób potrzebny jest piękny kawał miejsca i stąd wypadło pogłębić suteryny pod całem jednem skrzydłem zamku. Pracy huk, a wszystko złożono na nasze młode barki, by nam dać sposobność do gimnastyki, a zarazem nie zaprzepaścić wielkich pieniędzy, których nie było. Podzielono nas na trzy oddziały, luzujące się w ten sposób, że dwa pracowały wciąż, a jeden spoczywał. Trzeba było widzieć młodych kleryków i aspirantów, jak się uwijali z taczkami, łopatami, motykami i t. p. narzędziami. Wywieziono w dwóch tygodniach parę tysięcy taczek ziemi na odległość około 50 metrów, a w trzecim tygodniu zebrano również blizko pół metra ziemi z podwórza zamkowego, otoczonego ze wszystkich stron zabudowaniami. Na 31 sierpnia ukończono pracę z naszej strony, a teraz kolej na murarzy...

1-go września niedziela i zaczęcie roku szkolnego. Suma uroczysta, niestety dla braku miejsca bez asysty a wieczorem wieczorek literacki na wielką skalę. Żniwo oklasków zbierali mowcy, deklamatorowie i dzieci Muzy. I już jesteśmy w pierwszym tygodniu roku szkolnego...

Gwiazda dalekiej ojczyzny, wołającej o litość nad swem młodem pokoleniem, będzie w pracy całorocznej i czarnych chwilach wszystko kojącym balsamem.

FRYBURG (Szwajcarja). — Turyński dziennik *Momento* pisze: „Donoszą nam z Fryburgu, że bardzo pospiesznie postępują roboty około wielkiego gmachu dla studentów tamtejszego wydziału teologicznego. Gmach przybierze nazwę *Salesianum*. Otwarcie nastąpi w październiku. Nad budową czuwał ks. prałat Krucker, fundator i nieustraszony promotor dzieła, którego po jego śmierci pilnują Salezjanie z energią i wytrwałością właściwą synom księdza Bosko.

Nowy konwikt powstaje za poparciem władz kościelnych, które poleciły go klerowi i ludowi katolickiemu na zebraniach rocznych z dnia 22. sierpnia 1899 i 18. sierpnia 1903 r. Na tegorocznych posiedzeniach w zeszłym sierpniu biskupi szwajcarscy zwrócili się ponownie do duchowieństwa i wiernych, zalecając im popieranie wielkiego dzieła wychowania i formacji kapłańskiej."



Dziękczynienie.

W pewnej ważnej sprawie poleciłam się opiece Najśw. Marji Panny Wspomożycielki wiernych i postanowiłam w razie wysłuchania mej prośby podziękować publicznie w *Wiadomościach Salezjańskich*, jako też złożyć skromną ofiarę.

Matka najdobrotliwsza wysłuchała łaskawie moją prośbę; ja przeto wywięzując się z uczynionego ślubu, tą drogą wyrażam Jej moje najgorętsze podziękowanie.

Cebłów (Galicja), 14. 8. 1907.

STANISŁAWA GERUS.

*
* *

Przed rokiem byłam w wielkiem zmartwieniu i kłopocie. Nie mając tu nikogo, ktoby mnie mógł pocieszyć, udałam się z wielką ufnością do tej Królowej niebios, która słusznie zwie się *Pocieszycielką utrapionych*, prosząc by mi raczyła dopomódz. Odprawiłam także nowennę i ślubowałam, że jeśli Matka Boska wysłucha moje błaganie, ogłoszę publicznie to dobrodziejstwo. Nie zawiodłam się też w moich oczekiwaniach, gdyż wszystko wypadło ku mojej pociesze.

Z sercem przepełnionem wdzięcznością składam zatem litościwej Wspomożycielce wiernych sto-

krotne dzięki, prosząc o dalszą opiekę dla mnie i dla całej mojej rodziny.

Lidzbark (Prusy Zachodnie), 20. 8. 1907.

TEOFILA BARAŃSKA.

***

Przy rozpoczęciu naszego dzieła poleciliśmy się opiece Najśw. Marji Panny Wspomożenia Wiernych, przyobiecując, że jeżeli nam dopomoże doprowadzić je szczęśliwie do końca, złożymy odpowiedni datek na cele salezjańskie. Życzeniu naszemu stało się zadość, dlatego z przyjemnością uiszczamy się z danej obietnicy i wyrażamy przytem Matce Najświętszej nasze szczere podziękowanie.

Stary Ujazd (Górny Śląsk).

ALOJZY LASSAK
z żoną.

Po dwóch latach.

Długo — bo prawie dwa lata naprzykrzałam się (że tak powiem) Panu Jezusowi i Matce Boskiej o pewną łaskę, i już nieraz pomyślałam sobie, że jej pewnie nie uproszę, ale później przypomniawszy sobie słowa Pana Jezusa: *proście, a otrzymacie; szukajcie, a znajdziecie; kołaccie, a będzie wam otworzono*, nabierałam znowu otuchy i wznawiałam modlitwy. W końcu zlitował się Bóg nademną i udzielił mi pożądaną łaskę, t. j. sprawił, że przyznano mi wsparcie, o które się jako wdowa starałam.

Składając Panu Jezusowi i Jego Matce Przenajświętszej należyte dziękczynienie za wyświadczone mi dobrodziejstwo, załączam skromną ofiarę na Mszę św. dziękczynną i proszę o ogłoszenie tego we *Wiadomościach Salezjańskich*.

Fabjanowo (W. Ks. Poznańskie).

AGNIESZKA PIĄTEK.

***

Córeczka nasza dwuletnia zachorowała na zapalenie płuc, z czego wywiązały się suchoty. Do tego przyłączyła się szkarlatyna, koklusz i kurcz, co wszystko sprawiło, że lekarze nie robili już żadnej nadziei wyzdrowienia dla dziecka. Nie widząc innego ratunku, stroskani rodzice udaliśmy się pełni ufności do Matki Boskiej Wspomożenia wiernych i nie zawiedliśmy się: wkrótce bowiem dziecina w sposób prawie cudowny przyszła do zdrowia.

Przejęci wdzięcznością, składamy Pannie Najśw. Wspomożycielce Wiernych najszczersze dzięki za tak wielką łaskę i prosimy o zamieszczenie tego w *Wiadomościach Salezjańskich*. Oby każdy, kto to będzie czytał, uciekał się zawsze z ufnością do Tej, która dla wszystkich okazuje się najlepszą i najczulszą Matką.

Halicz (Galicja), 8. 9. 1907.

JÓZEF SEGIN.

***

Dotrzymując danego słowa, składam Boskiemu Sercu Jezusowemu i Matce Najświętszej Wspomożycielce Wiernych publiczne dziękczynienie za częściowe wyzdrowienie mojej córki. Mam w Bogu nadzieję, że chora niebawem zupełnie wyzdrowieje, gdyż całą swoją ufność pokłada w tej naszej najdobrotliwszej Matce, która lubi zwykle całkowitych łask udzielać. Proszę zarazem Najśw. Pannę Marję o inne łaski i polecam się Jej dalszej opiece.

Dortmund (Westfalja), 22. 8. 1907.

M. S.

***

W ostatniej mojej ciężkiej chorobie powziął mój mąż myśl udania się do Boskiej Lekarki Marji Wspomożycielki. W tym celu posłał do Turynu ofiarę na Mszę św. i nowennę o wyproszenie dla mnie zdrowia. Gdy nadeszło uwiadomienie, kiedy nowenna zacznie się odprawiać, także i my przyłączyliśmy się do niej i od tego czasu zaczęło mi się widocznie polepszać a dzisiaj czuję się zdrową zupełnie.

Za doznaną łaskę wyrażam wraz z mężem Pannie Najświętszej serdeczne podziękowanie i załączam ofiarę na odprawienie Mszy świętej dziękczynnej przed cudownym obrazem potężnej Wspomożycielki chrześcijan.

Kobier (Górny Śląsk), 28. 8. 1907.

FRANCISZKA I JÓZEF JASTRZEMBSCY.
Potwierdza: ANDRZEJ BRAŃCZYK.

***

Złożona długą i ciężką chorobą, uciekłam się o pomoc do litościwej Lekarki Niebieskiej N. M. P. Wspomożycielki Wiernych, poleciwszy odprawić nowennę na moją intencję w turyńskiem Oratorjum. Równocześnie przyobiecałam, że jeśli ta Panna Najświętsza pozwoli mi się podźwignąć, ogłoszę to w *Wiadomościach Salezjańskich*, dam na Mszę świętą i złożę skromną ofiarę na cele salezjańskie.

Prośby moje zostały wysłuchane: doznałam bowiem pomocy i ulgi w cierpieniach, za co na tem miejscu przejęta głęboką wdzięcznością składam stokrotne podziękowanie najłaskawszej Matce Wspomożycielce Wiernych, prosząc o zamieszczenie tego w poczytnym *miesięczniku salezjańskim*. Dołączam przytem datek na cele wyżej wspomniane.

Rawa-Ruska (Galicja), 24. 9. 1907.

BRONISŁAWA ZALESKA.

Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie,

a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Jan Pawłowski z Goślinowa (*W. Ks. Poznańskie*); S. Krąkowski z Poznania; Stanisław Krenz z Wylatkowa (*W. Ks. Poznańskie*); Józef Muza z Pucka (*Prusy Zachodnie*); Walenty Nowak z Chorzowa (*Górny Śląsk*); Jan i Katarzyna Buchowscy, Szymon i Konstancja Szołtysiakowie z Wilanowa (*W. Ks. Poznańskie*); Marja Korzecka z Tetewczyc (*Galicja*); Ludwika Wilimowska ze Stryja (*Galicja*); Józef Kaszewski z Jaruszyna (*W. Ks. Poznańskie*); Marja Salowa z Przyborowa (*Galicja*); Jan Michalak z Pałowca (*Galicja*), za wysłuchanie próśb; Elżbieta Gadowska z Antoniowa (*Galicja*), za pomoc w pewnej sprawie pocztowej; Wojciech Ludwik z Królewskiej Huty (*Górny Śląsk*), za wyzdrowienie synka z ciężkiej choroby; Franciszka Dziubała z Krakowa, za niespodziewane wyleczenie z asmy; J. R. Bielańscy z Worchester (*Ameryka Północna*), za wyzdrowienie córki z bardzo ciężkiej choroby; Emanuel Gnida z Orzegowa (*Górny Śląsk*), za ocalenie z wielkiego nieszczęścia; rodzina Rozmiarków z Fabjanowa (*W. Ks. Poznańskie*), za szczęśliwą operację matki; Joanna Jeleniewska z Chojnic (*Prusy Zachodnie*), za polepszenie się zdrowia matki, która w chorobie wynienki (*W. Ks. Poznańskie*); St. Wiatr nauczyciel z Jarosławia (*Galicja*); Nikodem Myszkowski z Bołszowiec (*Galicja*); Paweł Hordyk z Wyrzyska (*W. Ks. Poznańskie*); Józefa Prokopowa z Mościsk (*Galicja*), za pociechę w różnych zmartwieniach; Antonina Frogowa z Łętowni (*Galicja*), za oddalenie nieszczęścia jakie nad jej domem zawisło; A. Szklany z Trzebini (*Galicja*), za utrzymanie przy życiu dziecka; W. Młodzik z Andrychowa (*Galicja*), za dobre złożenie matury przez jednego syna i za szczęśliwe przebycie przez drugiego trudnej operacji; Franciszek Leśnik z Kolonji Karola (*Górny Śląsk*), za uzdrowienie dziecka; H. S. ze Złoczowa (*Galicja*), za wybawienie z okropnego nieszczęścia; Anna Baranowa z Bąkowa (*Galicja*), za wyzdrowienie z ciężkiej choroby, chociaż już myślano, że życie zakończy; A. D. z Woli Justowskiej (*Galicja*), za szczęśliwe wyzdrowienie córki, co samych lekarzy w podziw wprawiło; Wojciech Palewicz z Ja-



Młodzież murzyńska w zakładzie salezjańskim w *Mozambiku* (Afryka Wschodnia).

padła z łóżka i potem ciężko niedomagała; J. i H. L. z W. za doznane łaski i wysłuchanie próśb; Marta Liedtke z Kamienia (*Prusy Zachodnie*), za uwolnienie od bicia serca; Jan i Marjanna Oborzyscy z Wilanowa (*W. Ks. Poznańskie*), za wyzdrowienie córki ze zapalenia płuc; Augusta Nowocień z Nagładów (*Prusy Wschodnie*), za wybawienie z bardzo smutnego położenia; Adam Magosz z Kosztowa (*Górny Śląsk*), za nawrócenie syna od pijaństwa; Konstanty Bartoszewicz z Buffalo (*Ameryka Północna*), za dopomożenie synowi Antoniemu (w zakonie Eustachemu) w naukach i uzyskanie przezeń w Rzymie stopnia doktora św. Teologji; Marja K. z Inowrocławia (*W. Ks. Poznańskie*), za odzyskanie zdrowia; Helena Szubert z Rogoźna (*W. Ks. Poznańskie*), za wyzdrowienie z niebezpiecznej choroby; Walenty i Marja Baranowie z Podłęża (*Galicja*), za otrzymaną szczególniejszą łaskę po odprawieniu nowenny.



Z ostatniej podróży misjonarzy salezjańskich do Ameryki Środkowej.

W Genui wsiedliśmy na okręt *Venezuela*, który o godz. 11-tej w nocy podniósł kotwicę. Przy wypływaniu z portu spotkaliśmy się z gwałtownym wiatrem, który rozkołysał nasz okręt tak, jak już nigdy w dalszym ciągu podróży. Zrazu braliśmy tę rzecz z komicznej strony; zdawało się, że wszystko się skończy na strachu z wielkiemi oczami. Zwolna atoli milkły głosy i każdy udawał się do swej kajuty. Wreszcie i ja uznałem za stosowne zstąpić do dolnych apartamentów. Zastałem tam jednego z towarzyszów podróży w opłakanym stanie. Blady jak ściana i ciężko oddychający, borykał się biedak z groźnym potworem — *z chorobą morską*, z której przed kilku godzinami igraszki sobie stroił. Leżał teraz blady, nieruchomy, jęcząc żałośnie, a ja stałem przy nim zbolały i bezradny. Chory taki życzy sobie tylko jednej rzeczy: spokoju; nie chcąc mu go odmawiać, wdrapałem się szybko na górne łóżko i owinąłem się porządnie w kołdrę, aby nie odczuwać kołysania się okrętu, nie słyszeć trzeszczenia wiązadeł i cichych jęków chorego towarzysza. — Nazajutrz przy obiedzie wiele miejsc było wolnych a nawet nieliczni bohaterowie, którzy chcieli wstępnym bojem zwalczyć chorobę, musieli po chwili opuścić salę i pójść na świeże powietrze.

Znużeni śmiertelnie jednostajnością podróży, poczęliśmy w różnych językach (1) rzucać improperja na płoche potwory morskie, które umyślnie kryły się przed naszemi oczyma. Ale i w tym względzie ciekawość nasza miała być wkrótce zaspokojona.

Pewnego poranku zauważyliśmy, jak jeden z majtków, odłożywszy płótna żaglowe, które naprawiał, począł uważnie spoglądać na morze. To nas zaciekawiło niezmiernie. Poczęliśmy również my patrzeć, i oto spostrzegamy nadpływającego olbrzymiej wielkości wieloryba, pluskającego się swobodnie w bałwanach morskich i wystrzykującego od czasu do czasu, na wzór wspaniałej fontany, potężne smugi wody. Najchętniej w świecie bylibyśmy mu na śniadanie oddali swoje porcje niesolonego chleba; niestety wieloryb spostrzegłszy okręt, zawrócił i wywijając potężnym ogonem, znikł w odmętach.

Tydzień upłynął od pożegnania wysp Kanaryjskich. Zbliżaliśmy się do równika; upał rósł i zażądał z pomiędzy nas ofiary. Właśnie siedzieliśmy sobie wieczorem na pokładzie, obserwując położenie konstelacji, gdy nasz przewodnik zaprosił nas do jednej z kajut znajdującej się w przedniej części okrętu. Leżały tam zwłoki młodego majtka, który umarł nagle na udar słoneczny. Wokoło stali marynarze z czołem zasępionem i w żałosnem milczeniu.

Odmówiliśmy różaniec, od czego się ani jeden z marynarzy nie uchylił. Nazajutrz z brzaskiem dnia włożono zwłoki między dwa materace, obwinięto całość płótnem, obciążono kamieniami i na znak dany przez kapitana wrzucono do morza. Wrażenie było bardzo przygnębiające: plusk wody pochłaniającej zwłoki ludzkie, wstrząsł do głębi naszą naturą nieprzyzwyczajoną do podobnych *pogrzebów*.

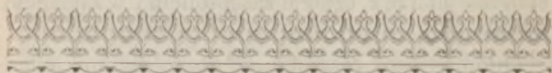
Mniej więcej około godziny 5-tej po południu opuściliśmy port kolumbijski *Limon*. Gdy byliśmy na pełnem morzu, poproszono nas głosem dzwonka na kolację, przy której długo zabawialiśmy się wesołą pogadanką. Nikt z nas nie przypuszczał, że tymczasem załoga na pokładzie robiła nadludzkie wysiłki aby ugasić ogień, który wybuchł w jednem z dolnych piątr. Niebezpieczeństwo było poważne, bo gęsty dym wzbraniał dostępu do płonących kajut. Z febrycznym pospiechem pracujące pompy nie mogły obfitymi strumieniami wody zdusić płomieni. Ogień szerzył się z każdą chwilą. Kapitan kazał zawrócić i całą siłą pary płynąć napowrót do portu Limon. Równocześnie odpięto łodzie ratunkowe i poczyniono wszelkie przygotowania do ratunku podróżnych. Wszystko to odbyło się z takim spokojem i rozwagą, że przy stole wcale się niczego nie domyślono.

Któż opisze nasze zdumienie i trwogę, gdy wyszliśmy na pokład? Z błyskawiczną szybkością rozeszła się wiadomość: *Okręt płonie!* Atoli nadzwyczajny spokój marynarzy a szczególnie kapitana, wydającego zupełnie swobodnie rozkazy i odpowiadającego uprzejmie i z uśmiechem na

(1) Grono misjonarzy składało się z 3 Niemców, 3 Włochów, 1 Anglika i 1 Hiszpana.

trwożliwe pytania podróżnych, wpłynął uspokajająco na wszystkich.

Naraz odezwał się ogłuszający, przeciągły świst niebezpieczeństwa i kapitan kazał wsiadać do łodzi ratunkowych. Wszystko rzuciło się ku nim, aby jak najprędzej opuścić niebezpieczny okręt: kobiety schodziły po schodkach, mężczyźni z drugiej strony statku spuszczali się po drabince linowej. Wszystko odbyło się stosunkowo spokojnie a nawet nie brakło epizodów komicznych. Równocześnie zbliżały się szybko od lądu łodzie wysłane na ratunek przez parowiec niemiecki *Chaledonia*. Ostatnią barką opuściliśmy i my nieszczęśliwy statek i dobiwszy do przystani, staliśmy długo na brzegu, patrząc przez ciemności nocne na *Venezuelę* w płomieniach.



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu grudniu.

Pomocnicy salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu grudniu następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

a) W uroczystość Niepokalanego Poczęcia N. P. M. (8 grudnia).

b) W dzień Bożego Narodzenia (25. grudnia).

c) W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

d) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

e) Raz w miesiąc w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. z. dobrej śmierci.

f) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

g) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekolekcje.

h) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Odpusty stacyjne:*

Pomocnicy, zwiedzając jakikolwiek kościół lub kaplicę publiczną i modląc się tamże na intencję Ojca św. zyskać mogą:

a) W I, II i IV niedzielę Adwentu: *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

b) W III niedzielę Adwentu: *odpust 15 lat i tyluż kwadragen.*

c) W suche dni adwentowe (18. 20. 21. grudnia): *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

d) W wigilję Bożego Narodzenia i w nocy podczas pasterki: *odpust 15 lat i tyluż kwadragen.*

e) W Boże Narodzenie, wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św.: *odpust zupełny.*

f) W dzień św. Szczepana (26. grudnia). św. Jana Ewangjelisty (27. grudnia), w dzień św. Młodzieniaszków (28. grudnia): *odpust 30 lat i tyluż kwadragen.*

C. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

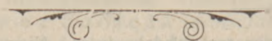
D. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu.

b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kolegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników i odpustów udzielonych kościołom Zgromadzenia Salezjańskiego, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów*, trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz*, *Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).



ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni

Misjonarza Salezjańskiego.

(Ciąg dalszy).

Odjazd miał nastąpić 16-go lipca, święto M. Boskiej z Góry Karmelu. Biskup byłby rad sam udał się aż na miejsce, ale nowe pilne zajęcia zmuszały go śpieszyć do Montewideo aby tam stanąć pięć dni przed terminem, w którym Salezjanie mieli wkroczyć w lasy Matto Grosso. To też wydawszy odpowiednie rozporządzenia, rozłączył się ze swym wiernym sekretarzem ks. Janem Balzolą, i jego postawił na czele tego trudnego i niebezpiecznego dzieła. Ks. Balzola zapalony tąż samą gorliwością, jaką gorzało serce biskupa, poświęcając bez żadnego ograniczenia swoje zdolności, zdrowie i siły dla tej ważnej misji, puścił się w dniu naznaczonym wraz z kilkoma towarzyszami w drogę do wskazanego mu celu, i przybył na miejsce po pięciu dniach uciążliwej konnej podróży. W krótkim czasie misjonarze wyrobili sobie dokładne pojęcie o trudnościach, jakie ich czekały i o ogromnych ofiarach, jakim będą zmuszeni się poddać. Nie przerażało ich to jednak; ze szlachetną gotowością przyłożyli rękę do pługa, zniżając się dobrowolnie ku biednym dzikim, aby ich pociągnąć do Chrystusa. Gorliwość naszych współbraci w niewielu miesiącach przezwyciężyła wszystkie trudności, a 19—go kwietnia r. 1895 Dziennik Urzędowy stanu Matto-Grosso w numerze 610 zamieścił następujące rozporządzenie: ,,J. E. p. Prezydent stanu uznał za stosowne powierzyć *osadę Teresy Krystyny*, założoną nad brzegami rzeki św. Wawrzyńca, Misjonarzom Salezjańskim przybyłym do naszego kraju także w celu nawracania i oświecania Indjan, mianując Dyrektorem tejże osady ks. Jana Balzolę a Wice-Dyrektorem ks. Józefa Solariego, obu członków tegoż Zgromadzenia, którzy zobowiązali się spełniać to zadanie zgodnie z Regułą Zakonu, którego są członkami, i ze wskazówkami danemi przez Prezydenta.'' Bozporządzenie to uzyskało poklask wszystkich osób dobrze myślących. Zewsząd napływały listy pełne zachęty dla misjonarzy, winszujące Prezydentowi i wróżące najlepszy owoc z tego dzieła tak chrześcijańskiego i dobroczynnego. To też biskup Lasagna widząc spełnienie swych najgorętszych pragnień, nie posiadał się z radości.

Ponieważ trudne zadanie, jakiego się podjął w imieniu swych misjonarzy, wymagało ogromnych środków dla zwalczenia niezliczonych przeszkód i trudności, powziął od początku zamiar zwrócić się do ludzi szczodrego serca, do przyjaciół postępu i wszystkich miłośników dobra publicznego. ,,Długo wahałem się — pisze w swym pięknym okólniku — czy mam się zwrócić do publiczności z tą odezwą; ale potem, przezwyciężając wstręt i wahanie, postanowiłem przerwać milczenie i błagać za pośrednictwem tego okólnika o współudział ogółu w przedsięwzięciu nadzwyczaj trudnem, a ważnem nie tylko dla tego, że jest religijnem, ale także dla tego, że jest przedewszystkiem dziełem humanitarnem; w przedsięwzięciu, które musi przynieść korzyść i zaszczyt całej szlachetnej ludności Brazylji.'' Przedstawiając potem naglącą potrzebę pospieszenia na ratunek setkom tysięcy biednych Indjan, którzy od stuleci już oczekują napróżno dobroczynnej ręki, gotowej wyrwać ich z przepaści nędzy, rozbudzić w nich poczucie godności ludzkiej, wskazać im najprostsze środki do osiągnięcia życia wygodnego i przyzwoitego, a nadewszystko zbawić ich dusze — pisze dalej: ,,Pociąga mnie do tej pracy wspomnienie cudów gorliwości i odwagi, jakie były już zdziałane w tym samym wzniosłym celu w wiekach ubiegłych, i które dziś jeszcze spełniają z bohaterstwem czcigodni a waleczni Misjonarze . . .''

Ale skądże miał upoważnienie przemawiać do publiczności w imieniu tych misji? Wiedział, że jest biskupem dzikich, zatem dodał: ,,Ale co mnie najsilniej pobudza, aby się do was odezwać, powiem wam bez ogródek — to głos wiekopomnej pamięci Papieża Leona XIII, który mnie zamianował biskupem i dał mi niezliczone dowody prawdziwie ojcowskiej miłości, aby we mnie zapalić gorliwość i chęć pracowania nad ucywilizowaniem niezliczonych hord dzikich, które błądzą po dziewiczych lasach ogromnego terytorjum brazylijskiego. Wielki Papież, który kieruje moralnymi i religijnymi losami wszystkich ludów świata i całą ludzkość ogarnia niezmierzoną swoją miłością, widział z ogromną radością świetne owoce pracy Salezjanów nad nawróceniem i ucywilizowaniem Indjan *Onas*, osiągnięte w ostatnich latach w Patagonii i w Ziemi Ognistej, i wysłał mnie do Brazylji, abym się starał ze wszystkich sił także tutejszych Indjan obdarzyć dobrodziejstwami cywilizacji.''

Potem, opisawszy swoją podróż do Matto-Grosso, uprzejme przyjęcie przez Prezydenta i biskupa, nieszczęśliwy stan Indjan *Koroados*, których wielu ludzi okrutnych usiłowało wytępić jak dzikie zwierzęta, przedstawił szlachetne zamiary Salezjanów oraz usiłowania Córek M.

B. Wspomożenia, aby nakłonić tych dzikich do łagodniejszych obyczajów i uczynić z nich synów Bożych oraz braci naszych w Chrystusie; a wreszcie zwracając się w szlachetnej odezwie do wszystkich mieszkańców Brazylji, prosił o modły i jałmużnę i tak kończył: ,, Przez miłość tego Boga, który nam przykazał mieć litość nad biednymi i opuszczonymi, przez miłość dla ludzkości tak poniżonej i upodlonej w osobach tych nieszczęśliwych krajowców, raczcie popierać misjonarzy salezjańskich, którzy z uwielbienia godnem poświęceniem oddają się pracy nad zbawieniem tych biedaków. Chciejcie rozpowszechniać znajomość tego dzieła wsród krewnych i przyjaciół; słowem i przykładem zachęcajcie jak największą liczbę osób, aby się przyczyniali choć małą ofiarą do tej świętej krucjaty. Jezus Chrystus, który przyrzekł uroczyście, że nie zostawi bez nagrody jednej szklanki wody podanej biednemu dla Jego miłości, jakiemiż błogosławieństwy napełni te dusze szlachetne, które zechcą dopomódz do zjednania dla wiary i cywilizacji tych nieszczęsnych Indjan! Zacni misjonarze i odważne zakonnice, którzy niebawem spotkają się z nimi w tych odległych lasach, nie przestaną przyzywać łask bożych dla was, dla waszych rodzin i opieki dla wszystkich duchownych i doczesnych spraw waszych. A ja sam, gdy się udam do tych zapadłych puszcz, aby odwiedzić i pocieszyć mych współbraci; gdy się tam udam, by chrzcić i umacniać w wierze naszych drogich neofitów, przyłączę się do nich, błagając ze łzami wdzięczności, aby Bóg nagrodził obficie tych wszystkich, którzy wspierają i wspomagają tę pierwszą a tak ważną misję salezjańską w Matto Grosso.''

16—go stycznia 1895, biskup skracając sobie kwarantannę odsiadywaną na wyspie Flores, pisał do mnie: ,, Mój okólnik doznał najlepszego przyjęcia. Prezydent Republiki Brazylijskiej napisał do mnie piękny list z powinszowaniem, a na audyencji oświadczył się z najpochlebniejszemi obietnicami dla nas. Ponieważ to jest człowiek bez żadnych zasad religijnych, wszyscy byli tem ogromnie zdziwieni. Opatrzność boska wszystko to prowadzi '' A gdy mu zwróciłem uwagę na niebezpieczeństwa grożące Siostrom wśród tych dzikich, oto co mi odpowiedział: ,, Zobaczy ksiądz biskup, iż okaże się, że w Matto Grosso Siostry powinny wyprzedzać Salezjanów, a nie iść za nimi, a to *z istotnej konieczności*. W tym skwarnym klimacie kobiety, prócz promieni słońca, żadnego innego nie mają okrycia. Jakżeby mogli misjonarze zbliżać się do nich? Będzie to zadaniem Sióstr, a misjonarze zajmą się mężczyznami i chłopcami. Jest to prawdziwą łaską Opatrzności dla naszych misji, że możemy mieć pomoc Sióstr, inaczej nie miałbym może odwagi posłać tam naszych braci.'' Z tych słów może sobie czytelnik zrobić pojęcie o trudnościach, z jakiemi biskup Lasagna musiał walczyć przy nawracaniu dzikich.

Rozdział XLIII.

Odjazd z Kujaby. — Młodociane serca. — Na tratwie. Rzeczywistość po czterech latach. — Indjanie Chomachokos. — W Villa Conception. — Kacyk Guazu. — Indjanie Kaingua. — Dobry charakter tych dzikich. — Ich pragnienie chrztu.

Zaledwie ks. biskup Lasagna wydał wszystkie rozporządzenia dotyczące misji w Matto Grosso, musiał się przygotować do ponownej długiej i przykrej podróży z powrotem do Montewideo. 11-go lipca przybyła do portu w Kujabie tratwa, na której miał odpłynąć; nazajutrz oddał wizyty pożegnalne władzom świeckim i duchownym, a tegoż dnia wieczorem odprowadzony został na brzeg przez biskupa, prezydenta, wyższych urzędników i wielki tłum ludu. Jakże wzruszającym był widok młodzieży z Patronażu! Zaledwie od kilku dni znali czcigodnego prałata, a już pokochali go jak ojca. Dowiedziawszy się o godzinie jego odjazdu, zebrali się w liczbie przeszło dwustu, aby mu złożyć życzenia szczęśliwej podróży i zapewnić go o swem synowskiem przywiązaniu. Z jakąż uwagą przechowywali w pamięci czułe wyrazy pożegnania tego dobrego ojca, który z trudnością powstrzymywał swe łzy! Cała niemal ludność miasteczka zgromadzona na miejscu lądowania, nie mogła wyjść z podziwienia, widząc że te dzieci i ta młodzież uboga i ciemna, przywykła do włóczęgi prawie na równi z Indjanami, tak się już przywiązała do biskupa salezjańskiego, że nie może się od niego oderwać. Serdeczny uścisk biskupa miejscowego oraz Prezydenta, ich łzy i objawy czułości w chwili rozstania były dowodem, że nasz misjonarz podbił sobie rychło i na zawsze wszystkie serca. Także nader ciężko było naszym braciom żegnać ukochanego przełożonego! lecz spełnili odważnie tę ofiarę. Łódź, na którą ks. Lasagna wszedł ze swym sekretarzem, puściła się zwolna z biegiem wody, wśród wiwatów i okrzyków.

Niedługo potem biskup rozmawiał poufale ze swymi towarzyszami podróży wszelkiego stanu i dzielił z nimi prostą strawę, składającą się z czerstwego chleba i suszonego mięsa; poczem owinąwszy się w kołdrę, wyciągnął się na deskach pomostu na nocny spoczynek. Wysoce budującem było widzieć jak, po hołdach należnych jego biskupiej dostojności, zeszedł do pokornej roli misjonarza zmuszonego obywać się bez najpierwszych potrzeb.

Nazajutrz koło południa spotkano w *Barranca Alto* mały parowiec *Coxipó*, który mimo swych ciasnych rozmiarów wydał się naszym podróżnym prawdziwym pałacem w porównaniu z tratwą, którą musieli się dotąd zadowalać. Podczas gdy przenoszono pakunki, biskup ochrzcił czworo dzieci, a warto nadmienić, że miejscowość, gdzie się to odbyło, należała jeszcze do parafii św. Alojzego, którą biskup Kujaby powierzył Salezjanom; stąd łatwo sobie wyobrazić, jak rozległą jest ta parafia. Przez kilka godzin postoju biskup otoczony był przez Indjan krajowców,

którym rozdawał medaliki, przyjęte przez nich z najżywszą wdzięcznością. Upał, na szczęście, mniej się już dawał we znaki, a statek unoszony prądem rzeki, szybko się posuwał, i 17-go lipca mógł już zarzucić kotwicę pod miasteczkiem *Korumbá*. Tutaj biskup miał czas obejrzeć wielki arsenał i rozmówić się z poczciwym proboszczem, który dopraszał się usilnie o przysłanie mu na pomoc misjonarzy salezjańskich.

Rankiem 15-go lipca ks. Lasagna przesiadł się na statek *Ladario* odpływający do Paraguaju.

nadziei sprzedania podróżnym wyrabianych przez siebie wachlarzy z liścia palmowego. Aby mieć sposobność podarować im trochę medalików i innych drobnostek, zakupił od nich pewną liczbę wachlarzy, lecz, niestety! nie mógł zrozumieć ani jednego słowa ich mowy. Jakże boleśnie mu było widzieć ich w takiej nędzy fizycznej i duchowej, a nie módz nic uczynić, aby ich oświecić i zbawić ich dusze!

Po dwudziestuczterech godzinach podróży statek *Ladario* zatrzymał się w *Villa Concepcjon* na krótki postój, który biskup tak opisuje: „Po-



Grób wielebnego sługi Bożego ks. Bosko we *Valsalice* **pod Turynem.**

Po drodze widział nad brzegami rzeki dość liczne gromady Indjan, trzymających w ręku wiosła oraz strzały. Było to plemię *Chomachokos*, odznaczające się łagodnem usposobieniem i chętnie przyjmujące służbę u cywilizowanych osadników, podejmując się paść i pilnować bydło, za co otrzymują jako zapłatę trochę sucharów, kawałek płótna, wędki i inne przedmioty małej wartości. Byli oni dla biskupa nietylko przedmiotem litości, ale i uważnych badań. Jednego dnia, gdy parowiec zatrzymał się dla zabrania ładunku wołów przeznaczonych na wyżywienie podróżnych, biskup-misjonarz wysiadł umyślnie na ląd, aby się zbliżyć do biednych Indjan, którzy zbiegli się w

żegnaliśmy poczciwego kapitana i towarzyszów podróży, i przeszliśmy do łodzi, która nas przewiozła na ląd. Przyjęto mnie bardzo życzliwie; P. Ildefons Fernandez, z pochodzenia Uruguajczyk i właściciel rozległych gruntów oraz licznych trzód bydła, zaprosił mnie do swego domu. Nie mogę mu być dość wdzięczny za delikatne względy, jakie on sam, jego żona i syn mi okazywali. Potrzebowałem wypoczynku, bo moje bóle reumatyczne wzmogły się wielce i dokuczały mi zarówno w dzień jak w nocy. Pobyt mój tutaj trwał tylko trzy dni, a przez ten czas cisnęły się do mnie setki osób, którym rano i wieczorem udzielałem Sakramentu bierzmowania

i głosiłem słowo Boże. Stolica jest w ciągłem połączeniu z miastem *Korumba* za pośrednictwem małego parowca, który odbywa podróż raz na tydzień; gdybym był opuścił tę sposobność, byłbym zmuszony zatrzymać się tydzień dłużej. To też wyrzekłem się zamiaru zwiedzenia pustyni *Czako* i postanowiłem puścić się w drogę w niedzielę.

Między *Villa Conception* a *Czako* leży wyspa dość rozległa zamieszkana przez plemię indjańskie *Lengua;* są oni najłagodniejsi ze wszystkich zamieszkujących te strony. Po większej części oddają się żebraninie; niektórzy tylko trudnią się handlem skór. Przychodzą często do *Villa Conception* i są zawsze uprzejmi i grzeczni. Można ich wpuszczać do domów i sklepów z zupełną pewnością, że nic nie ukradną mimo swej wielkiej nędzy. Przed zapadnięciem nocy żołnierze wydalają ich na drugi brzeg rzeki.

Nazajutrz po mojem przybyciu odwiedził mnie ich *kacyk* (naczelnik) *Guazù*. Towarzyszyło mu czterech Indjan, których ciało pomalowane było w najdziwaczniejszy sposób. Mały tylko szmat płótna opasywał ich biodra. Kacyk ten miał przepyszną postawę, a członki jak Herkules. Przemówił do mnie kilka słów po hiszpańsku, okazując radość z mego przybycia i zapraszając mnie do swojego obozu, gdzie obiecywał mnie uraczyć dobrem mlekiem i świeżemi jajami. Chciał mnie gwałtem zabrać z sobą, a ręką swoją potężną i mocno olejem wysmarowaną ciągnął mnie z całych sił za ramię. Łódka jego czekała w pogotowiu, a zapewniał mnie prócz tego, że jego czterej towarzysze są doskonałymi wioślarzami, zdolnymi przenieść mię na ramionach na drugi brzeg bez przemoczenia mi sukni.

,,Podarowałem mu trochę cygar i kilka sztuk monety i pożegnałem go jak najuprzejmiej; mimo to oddalił się bardzo zasmucony. Cóż sobie o mnie pomyślał ten biedny syn dziewiczych lasów? Ach, gdyby mógł był czytać w mem sercu, byłby widział, że cierpiałem więcej niż on! Byłbym pragnął mieć do rozporządzenia kilku moich braci, aby im powierzyć pieczę nad tymi biednymi ludźmi. Lecz darmo męczyłem się z myślami; nie mogłem nic wynaleźć: nie miałem ani ludzi, ani pieniędzy, a już ogromne długi ciężyły na mojej misji. To też na widok takiej nędzy i tylu potrzeb, którym nie mogłem zaradzić, napadało mnie głębokie zniechęcenie. I jak może być inaczej, gdy się wie, że wśród tego samego plemienia jest już misja protestancka osiedlona i hojnie wyposażona przez londyńskie towarzystwo biblijne? Wszyscy mi powtarzają, że nie ma ona żadnego powodzenia ani wpływu, ale niemniej będzie dla misjonarza katolickiego wielką zawadą. Bądź co bądź protestanci wyprzedzili nas, pospieszyli się posiać kąkol, a my, którzy niesiemy zbawienie i prawdziwą dobrą nowinę, przybędziemy późno i kto wie nawet, kiedy będziemy mogli rozpocząć naszą pracę! — Kiedyż więc nadejdzie dzień, w którym w tych krajach, tak samo jak w Patagonii, osiedlą się misjonarze i Siostry M. B. Wspomożenia, gorliwi katechiści i uczciwi rolnicy?"

W ciągu tej podróży po rzece *Paraguaj* biskup zgromadził wiele cennych wiadomości o innem plemieniu dzikich, którzy mieszkają po drugiej stronie pustyni *Czako* i zwani są: *Kainguà* albo też *Kaimoa*. Ci Indjanie mają zasady porządku, moralności, pracowitości, które ich stawiają wiele wyżej od innych. Są to ślady nauk ewangielicznych, które w ich przodków wpajali niegdyś Jezuici; gdy spostrzegą cudzoziemca, mają zwyczaj podawać mu grubo obrobiony krzyż, jako znamię życzliwości i pokoju. Wieczorem, o zachodzie słońca, kacyk zgromadza całe swoje plemię i z rękami wzniesionemi ku niebu rozpoczyna hymn, który wszyscy za nim powtarzają; tożsamo odbywa się każdego rana. Otóż stwierdzono, że ta modlitwa Indjan jest nie co innego, tylko *Ojcze nasz* w dawnym języku *Guaranitika* dziś już zupełnie wygasłym. Język, którym dziś mówi pospólstwo w Paraguaju, jest zwyrodniałym dialektem nie mającym już prawie żadnego podobieństwa z mową, która była w używaniu za czasów misji Jezuitów.

Podczas wojny, którą dziki tyran Franciszek Solano Lopez prowadził przeciw zjednoczonym potęgom Brazylji, Uruguaju i Argentyny, plemię *Kaingua* złożyło dowody wielkiej szlachetności i miłosierdzia. We wrześniu r. 1869 nowy *Neron* kazał porwać kobiety i dzieci ze wszystkich rodzin, które podejrzywał o niesprzyjanie jego despotycznym rządom; było tych nieszczęśliwych przeszło *dwa tysiące:* zapędzono ich gwałtem w dzikie krzaki i skazano na śmierć głodową. Trudno opisać ich cierpienia, które wielu przypłaciło życiem; niektórzy dobrowolnie sobie śmierć zadali z rozpaczy; ale pewna liczba uratowana została przez poczciwych dzikich, którzy nietylko dostarczyli im żywności, ale po trochu ułatwili im ucieczkę i przeprowadzili ich do obozu sprzymierzonych.

Jak to czytamy w dzienniku przez niego pozostawionym, biskup Lasagna przez czas zbyt krótki, który spędził w *Villa Conception*, nietylko, według zwyczaju, głosił nieznużenie słowo boże, ale wybierzmował przeszło tysiąc osób. — 22 lipca wsiadł na statek *Pingo*, aby się udać do *Assumption* stolicy Paraguaju. Wieczorem, gdy statek zatrzymał się w *estancia S. Elisabeth* aby nabrać drzewa, biskup skorzystał z tego, by się zbliżyć do znacznej gromady Indjan, którzy siedzieli skuleni na wybrzeżu. Zaledwie go dostrzegł właściciel tej rozległej posiadłości, przybiegł z prośbą, aby zechciał ochrzcić jego półroczne dziecko. Gdy sekretarz wszystko przygotował w salonie okrętowym, biskup dopełnił ceremonji chrztu, nadając nowo-ochrzczonemu imię Joachim, na cześć Ojca wszystkich wiernych. Ceremonja ściągnęła wielu ciekawych widzów; między nimi znalazł się także Indjanin, który przybył na statek, nie krępując się bynajmniej tem, że był całkiem nagi. Zbliżył się do biskupa i dał mu do zrozumienia, że i jego towarzysze pragną także być chrześcijanami i chcą otrzymać chrzest. Biedny, poczciwy Indjanin! Był to jeden z kacyków plemienia *Lengua*. Biskup z wielkim tru-

dem wytłumaczył mu, że trzeba, aby pierwej był oświecony i przygotowany, a na to czasu nie starczy. Kacyk ustąpił wreszcie, otrzymawszy przyrzeczenie, że misjonarze powrócą i życzenie jego spełnią. Przyjął z radością drobiazgi, którymi go obdarowano i powrócił do swych towarzyszy oczekujących z niecierpliwością skutku jego poselstwa. Nim pożegnał biskupa, Indjanin ten, prawdziwy olbrzym, wyjął z uszu okazałe ozdoby jakie w nich nosił i ofiarował je sekretarzowi. Były to dwa kawałki drzewa okrągłe i nadzwyczaj lekkie, długości pięciu centymetrów, które wsunięte były w otwór urządzony w dolnej części ucha. Dziś jeszcze oglądać można tę osobliwość w muzeum misji salezjańskich w *Valsalice* pod Turynem.

Rozdział XLIV.

W stolicy Paraguaju. — Bolesne wieści. — Okrzyk wdzięczności i miłości dla kraju ojczystego. Pięć miesięcy usilnej pracy. — Dwa razy 2500 kilometrów. — Wyświęcenie biskupa paraguajskiego. — Kwarantanna.

Z umysłem zaprzątniętym tylu ważnemi sprawami a duszą przejętą smutkiem na myśl o nieszczęsnym losie licznych pokoleń dzikich Indjan, wiodących marne życie w krainach, jakie teraz przebył, biskup Lasagna stanął w mieście *Assumption*, stolicy Paraguaju. Zmuszony był zatrzymać się tutaj i oczekiwać odjazdu statku *Centaur*, mającego odpłynąć do Montewideo; wypadło to właśnie w chwili, gdy w Paraguaju zaszły ważne wypadki. Bunt wojskowy obalił rząd; prezydent Gonzales i jego stronnicy zostali wygnani z kraju, a tem samem układy o założenie domu salezjańskiego musiały pozostać w zawieszeniu. Jednakże telegram jenerała Eguzquiza, kandydata do prezydentury, dodał biskupowi nieco otuchy; jenerał zapewniał go, że jeżeli tylko stanie na czele rzeczypospolitej, rychło się z nim ułoży, pragnie bowiem i za zaszczyt sobie poczyta dopomódz do urzeczywistnienia dobroczynnych zamysłów biskupa względem Paraguaju.

Niestety wszystko zdawało się sprzysięgać przeciw jego zamiarom, a przez krótki czas, jaki spędził w Assumption, wystawiony był na ciężkie próby. Oprócz przykrości, jaką odczuwał wskutek upadku prezydenta Gonzalesa, otrzymał telegraficznie wiadomość o zgonie ks. Cipriano, jednego z najdzielniejszych pracowników w zakładzie *Villa Colon;* był to ukochany towarzysz, prawdziwy wzór Salezjanina, co więcej jego osobisty przyjaciel i powiernik, którego ubytek ogromną otwierał próżnię. Równocześnie doniesiono mu, że w następstwie wojny domowej dom salezjański w *Nichteroy* zamieniony został na szpital i magazyn żywności, a uczniowie porozsyłani do swych domów rodzinnych. Pilne sprawy powoływały go do *San Paulo;* a na domiar wszystkiego złego zdrowie jego było nędzne: obawiał się nawet, aby gwałtowne reumatyzmy nie przeszkodziły dalszej jego podróży i nie zatrzymały go na długie miesiące w jakimś zapadłym kącie tych odległych krain. Widząc się otoczonym tylu przeszkodami, postanowił odłożyć do pomyślniejszej pory zamierzone podróże apostolskie po Paraguaju, Górnej Paranie i Górnym Uruguaju; a zatem 29-go lipca puścił się z powrotem wprost do Montewideo, i niebawem ujrzał się z radością w swem ukochanem kolległum Pijusowem. Opowiada nam to list następujący:

« Niech będzie Pan Bóg błogosławiony, że mnie zdrowo i cało wrócił do mych współbraci, pozwoliwszy mi oglądać własnemi oczami i niemal ręką dotknąć głębokich ran trawiących te nieszczęsne plemiona krajowców Górnego Paraguaju i Matto-Grosso! Na widok tak głębokiej nędzy jakże wdzięcznym jestem Panu, który dał mi się urodzić nie wśród niewiernych, ale we Włoszech, w kolebce religji i cywilizacji, w ojczyźnie sztuk i nauk, w tym kraju szczęśliwym, skąd na cały świat rozchodzi się blask chwały Stolicy św. Piotra, gdzie Papiestwo każde miasteczko i każdą wioskę oświeca z blizka swą jasnością, skąd wyszło tyle tysięcy bohaterów i świętych, których przykłady nieśmiertelne są naszą chlubą! »

Ukończywszy podróż tak długą i przykrą, nieznużony apostoł nie szukał wypoczynku, ale załatwiwszy interesa kollegium Piusa IX. i objechawszy inne domy salezjańskie w Uruguaju, wyruszył znowu do Rio Janeiro. W każdem miejscu gdzie się zatrzymał, przedmiotem jego rozmów z braćmi i z wychowankami, jako też jego konferencji i kazań, był zawsze nieszczęśliwy stan dzikich mieszkańców kraju Matto Grosso i Paraguaju. A trzeba przyznać, że słowa jego padały na żyzny grunt, bo wywołały liczne powołania misjonarskie i przyniosły obfite żniwo środków pieniężnych dla dalszego popierania rozpoczętych dzieł.

W stolicy Brazylji biskup Lasagna został najuprzejmiej przyjęty przez dra Moraesa, prezydenta Rzeczypospolitej, który dziękował mu gorąco za wszystko, co już zdziałał dla ucywilizowania Indjan *Koroados*, przyrzekając mu na przyszłość swoje poparcie. Takiegoż przyjęcia doznał od ministra wojny, który w imieniu całego rządu oświadczył mu żywą wdzięczność za oddanie domu salezjańskiego w Nichteroy na przytułek dla rannych i chorych żołnierzy.

To też niestety obchodząc Oratorjum Św. Róży, widział biskup ze ściśnionem sercem, że ani jednej celki niema tu już dla siebie, a zamiast wesołych okrzyków dziatwy, rozlegały się wśród zabudowań jęki ranionych. Nie zniechęcając się jednakże, sumienny pasterz dopełniał dalej swych nużących obowiązków i znalazł jeszcze czas na głoszenie słowa Bożego i udzielanie św. Sakramentów. Gdy opuszczał Rio Janeiro, aby objechać prowincje: Lorena, San Paulo i Las Minas, rząd w dowód głębokiej wdzięczności, oddał bezpłatnie do jego użytku wagon 1-ej klasy. Zwiedzanie zakładów salezjańskich w Brazylji zabrało mu czas od 20. sierpnia 1894 do 20.

stycznia 1895, a możemy śmiało twierdzić, że przez te pięć miesięcy nie należał już całkiem do siebie: swoje zdrowie, czas, siły, poświęcił wyłącznie dobru dusz. Mógł zatem słusznie zastosować do siebie słowa św. Pawła: *Ego libentissime impendam et superimpendar ipse pro animabus vestris* (1).

Powróciwszy z tej długiej i męczącej misji wśród Oratorjów salezjańskich, miał właśnie rozpocząć doroczne rekollekcje ze swoimi ukochanymi współbraćmi, gdy został śpiesznie zawezwany do prezydenta republiki Paraguajskiej w sprawie następującej. Gdy ks. Lasagna znajdował się w r. 1893 w Rzymie z okazji swej biskupiej konsekracji, otrzymał kilkakrotnie audjencję u Leona XIII-go, a ośmielony łaskawością i żywem zajęciem, z jakiem Ojciec św. go słuchał, przedstawił mu nieszczęśliwe położenie Paraguaju, brak księży i tak długie osierocenie tej ogromnej dyecezji pozbawionej Pasterza, z wielką krzywdą dla dusz.

Ojciec św. wysłuchawszy go uważnie, dał do zrozumienia, że wkrótce temu zaradzi. Listy, które prezydent Gonzales z namowy ks. Lasagni pisał wprost do Rzymu w miesiącu maju, przyśpieszyły sprawę: i oto Ojciec św. naznaczył biskupa dla miasta i dyecezji Assumption.

Wybrańcem tym był ks. Symforjan Bogarin, kapłan jeszcze młody, ale pełen roztropności, pobożności, nauki i rzadkiej cnoty. Wszyscy pragnęli, aby nowo naznaczony Pasterz otrzymał konsekrację z rąk tego biskupa, który najwięcej się przyczynił do położenia końca sieroctwu dyecezji Paraguajskiej, a zarazem tak wielkie powziął zamiary w celu moralnego odrodzenia ich ojczyzny. Zatem nowy Prezydent Generał Eguzquiza, w przekonaniu że wszystkich zadowoli, zaprosił biskupa Lasagnę, aby raczył osobiście dopełnić uroczystej ceremonji konsekracji biskupiej. *(Ciąg dalszy nastąpi).*

(1) II Kor. Rozdz. XII, w. 15.
« A jać bardzo rad nałożę i nad zwyż się wydam sam za dusze wasze ».

NEKROLOG.

Bartoszek Grzegorz, — Radoń, *Górny Śląsk.*
Bieniek Michał, — Rośmierka, *Górny Śląsk.*
Borowski Piotr, — Lipowiec, *W. Ks. Poznańskie.*
Brońkański X. Hieronim, proboszcz, — Dąbrówka, *W. Księstwo Poznańskie.*
Brzeczka Klara, — Kolonja Wandy, *Górny Śląsk.*
Czerwińska Rozalja, — Wielkie Radowiska, *Prusy Zachodnie.*
Czosnykowa Anna. — Kobierzyn, *Galicja.*
Doległo Tekla, — Zagórze, *Galicja.*
Dudacy Joanna, — Tworków, *Górny Śląsk.*
Dybka Marjanna, — Lutogniew, *W. Ks. Poznańskie.*
Działocha Michał, — Sadowie, *W. Ks. Poznańskie.*
Frasiński Józef, nauczyciel, — Podgórze, *Galicja.*
Firyn Walenty, — Lipinki, *Prusy Zachodnie.*
Goraczeński Józef, — Gelsenkirchen, *Westfalja.*
Gürtler Marja, — Lwów, *Galicja.*
Gwóźdź Franciszka, — Żandowice, *Górny Śląsk.*
Habrajski Franciszek, — Niem. Piekary, *Górny Śląsk.*
Jaworski Wiktor, — Michałkowice, *Górny Śląsk.*
Jeżak Maciej, — Lutogniew, *W. Ks. Poznańskie.*
Joraszek Franciszek, — Kujawy, *Górny Śląsk.*
Kawandyt Agnieszka, — Siedliska, *Galicja.*
Kaźmierczak Wiktorja, — Wanne, *Westfalia.*
Kokot Jan, — Rośmierka, *Górny Śląsk.*
Kosiba Wawrzyniec, nauczyciel, — Prokocim, *Galicja.*
Kozak Leon, — Naprawa, *Galicja.*
Koziełek Franciszek, — Brzezie, *Górny Śląsk.*
Krążel Marjanna, — Katowicka Hałda, *Górny Śląsk.*
Kroker Paulina, — Gliwice, *Górny Śląsk.*
Kulosek Rozalja, — Szarlej, *Górny Śląsk.*
Lesiński Józef, — Chełmno, *Prusy Zachodnie.*
Łochowicz Franciszek, — Łekno, *W. Ks. Poznańskie.*
Łoś X. Bartłomiej, — Wietrzychowice, *Galicja.*
Mensfeldowski Łukasz, — Borek, *W. Ks. Poznańskie.*
Mnichowski Michał, — Juńcewo, *W. Ks. Poznańskie.*
Mowińska Katarzyna, — Mroczno, *Prusy Zachodnie.*
Mucha X. Franciszek, — Rzochów, *Galicja.*
Mulczyńska Bronisława, — Krobia, *W. Ks. Poznańskie.*
Nowak Antoni, — Chłędowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Ochęduszko Józef, — Stubno, *Galicja.*
Ordon X. Stanisław, — Mława, *Królestwo Polskie.*
Owczarek Karol, — Ruda, *Górny Śląsk.*
Pączek X. Andrzej, proboszcz, — Lipsko, *Galicja.*
Pawlak Jadwiga, — Siemianowice, *Górny Śląsk.*
Pietrek Matylda, — Królewska Huta, *Górny Śląsk.*
Sarna Bronisława, — Szczakowa, *Galicja.*
Siemek X Tomasz, dziekan, — Tymowa, *Galicja.*
Śliwa Stanisław, — Nowy Targ, *Galicja.*
Sobocik Paweł, — Huta Antoniny, *Górny Śląsk.*
Śpiegel Marja, — Lipiny, *Górny Śląsk.*
Stolfik Anna — Długa wieś, *Górny Śląsk.*
Stolfik Wacław, » » » »
Szymańska Kordula, — Krobia, *W. Ks. Poznańskie.*
Szymański W. — Kostrzyn, *W. Ks. Poznańskie.*
Wermuth X. Juljusz, proboszcz, — Szombruk, *Prusy Zachodnie.*
Wielebska Marjanna, — Oczkowice, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Wielebska Marjanna, — Wanne, *Westfalja.*
Wojtalik X. Walenty, proboszcz, — Żmigród Nowy, *Galicja.*
Ziajka Elżbieta, — Lutogniew, *W. Ks. Poznańskie.*
Ziob Andrzej, — Wieszowa, *Górny Śląsk.*

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1907.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).